

MONARCHISTA

PISMO PRZEŁOMOWE

NR 11 A.D. 2011



Venimus, vidimus et Deus vicit

(łac. Przybyliśmy, zobaczyliśmy i Bóg zwyciężył)

BOHATEROM SPOD WIEDNIA 1683
DEDYKUJEMY

SPIS TREŚCI:

Krzysztof Zagozda <i>Wypnij się na wybory!</i>	III
Rene Guenon <i>Chaos społeczny</i>	IV
Adam Doboszyński <i>List otwarty do p. Słonimskiego</i>	XIV
Aleksander Dugin <i>Kto steruje amerykańską polityką?</i>	XIX
Piotr Marek <i>Operacja "Lew Morski". Wojna o Wielką Brytanię</i> ..	XXIV
Jan Dobraczyński <i>Przemówienie przeciwko ustawie aborcyjnej z 1956 roku</i>	XXIX

KONTAKT Z REDAKCJĄ:

jasinski.karol@gmail.com

www.facebook.com/monarchista

<http://pismomonarchista.wordpress.com/>

Wypnij się na wybory!

Ledwo w świat poszło zawiązanie Stowarzyszenia Unum Principium o bojkot wyborów parlamentarnych, a wnet moja skrzynka zapełniła się ponad setką maili. Co ciekawe, większość z nich zawierała... ulgę wywołaną faktem, że ktoś wreszcie odważył się pójść po rozum do głowy i publicznie pokazać rządzącym wyprostowany środkowy palec. Oczywiście nie zabrakło też bez mała prokuratorskich odsądzeń od czci i wiary dowodzących o naszej zdradzie i udziale w spisku przeciwko państwu i narodowi. Skoro jednak bojownicy z plutonu egzekucyjnego nie zdążyli jeszcze zapukać do siedziby stowarzyszenia, sam wygłoszę mowę obronną a potem... będę do ich dyspozycji.

Przywołajcie z pamięci „Kingsajz” Machulskiego i scenę z tym oto kultowym dialogiem: „– A ja kiedyś widziałem niebo... takie niebieskie... przez dziurkę od klucza. – Głupi. Ja wiem o czym ty mówisz. To wcale nie było niebo. To było wiadro. Wiadro tam stało”. Na premierze zapewne śmialiście się głośno, tyle tam było prawdy o siermiężności i zakłamaniu PRL-u! A dziś? Czyż w scenie tej nie można by obsadzić każdego z nas, niewolnika układu z Magdalenki, żyjącego ułudą wolności i karmionego wszechobecnym łgarstwem? To, co nam się wydaje naturalnym biegiem rzeczy, jest tylko częścią przebiegłego scenariusza, a to, co widzimy wokół siebie – zwykłą fakturą opartą na labiryncie rusztowań.

Najbliższe tygodnie znów spędzimy wśród świeżo odmalowanej, ale już wysłużonej scenografii: kampania wyborcza, komitety, kandydaci, urny, hasła... No i głowy gadające, że nieobecni nie mają racji, że obywatelski obowiązek, dojrzała demokracja, że pluralizm i frekwencja. A my? Kolejny raz damy się ponieść atmosferze, wypucujemy szable i buławki wyjęte z plecaczków. Skrzyknjemy się we trzech, czterech i będziemy przekonywać wzajemnie, że teraz to ho-ho, że my IM pokażemy... A na koniec niebo znów okaże się zwykłym wiadrem. Dziurawym i bez pałaka.

Organizują nam wybory tylko po to, byśmy w nich uczestniczyli, aby mogli głośno powiedzieć, że są naszą władzą, przez nas wybraną. Na tym kończy się nasza rola i cały sens wyborów. Nie ma nawet znaczenia to, kto wygra. Przecież i tak nic się nie zmieni. Władza pozostanie w ICH rękach. Faktem jest, że startować może każdy: komitety i komiteciki, małe i mniejsze.

Im więcej, tym lepiej. Pobiegną, mety nie ujrzą, ale zmęczą się. I będą odpoczywać kolejne cztery lata wśród nowej-starej tekturowej scenografii.

Cały okres międzywyborczy rozgrywany jest politycznie i medialnie tak, by nikt spoza partii obecnych dziś w sejmie nie znalazł się w przyszłym rozdaniu. Raz zdobytej władzy układ już nie odda. Dla sprawy polskiej nie ma żadnego znaczenia, kto utworzy rząd, a kto znajdzie się w pozornej opozycji. Konia z rzędem temu, kto odróżnia jeszcze jednych od drugich! Kurs na demontaż państwa zostanie utrzymany. Wiem, że obrazi się na mnie elektorat PIS-u, że pojawią się argumenty o konieczności wyboru mniejszego zła. Nic z tego. Nie mam zamiaru odegrać roli bezbronnej ofiary, która ma uspokoić sumienie rzezimieszka i sama wybrać narzędzie zbrodni: nóż lub gazurkę. Nie widzę też sensu, by wspomagać Korwin-Mikkego w jego upartym śrubowaniu rekordu Guinnessa w liczbie klęsk wyborczych. Najmniejszych szans na jakikolwiek sukcesik nie dają też śpiącej od czterech lat Lidze Polskich Rodzin, ani żadnemu innemu komitetowi skrzykniętemu *ad hoc* przez – szlachetnych nawet – patriotów. Sprężą się na dwa, trzy tygodnie i pozostanie po nich spalona ziemia. Nie może być zgody na trwonienie lekką ręką resztek społecznej ofiarności Polaków. Jedyną drogą na dziś jest masowy BOJKOT WYBORÓW!

Bojkot nie będzie oznaczał wcale bierności, ale aktywny i świadomy wybór konkretnej opcji nieobecnej na kartach do głosowania. Będzie czerwoną kartką daną całemu systemowi, odbierającą IM głupawę uśmieški. Będzie w końcu paliwem dla wszystkich myślących po polsku, sygnałem, że oto zmienia się wiatr historii zdolny góry przenosić. Najważniejsze, by wiatr ten dał w nasze polskie żagle. Przygotowania na jego nieuchronne nadejście już się rozpoczęły.

Krzysztof Zagozda

Chaos społeczny

Nie leży w zakresie niniejszego studjum zastanawianie się nad punktem widzenia społecznym, obchodzącym nas jedynie bardzo pośrednio, ponieważ przedstawia on dość odległe zastosowanie zasad podstawowych i dlatego właśnie naprawa świata współczesnego nie mogłaby nastąpić, rozpoczynając od tej dziedziny.

Naprawa ta w samej rzeczy, podjęta w ten odwrotny sposób, to znaczy rozpoczynając od skutków, zamiast od przyczyn, byłaby pozbawioną poważnych podstaw, a zatem byłaby tylko ułudą; nic stałego nie mogłoby z niej wyniknąć i należałoby wciąż rozpoczynać wszystko od początku, dlatego, że uprzednio nie osiągnęło się porozumienia, co do prawd zasadniczych. Z tej to przyczyny jest niemożliwym udzielić kategorjom politycznym, nawet w najszerszym znaczeniu tej nazwy, innego znaczenia, jak tylko znaczenia zwykłych znaków zewnętrznych umysłowości danej epoki. Jednakże nawet pod tym kątem widzenia nie możemy pominąć zupełnym milczeniem przejawów bezładu współczesnego w dziedzinie społecznej, jako takiej.

Nikt w obecnym stanie świata zachodniego nie znajduje się na stanowisku, któreby mu odpowiadało normalnie ze względu na jego własną naturę; wyraża się to powiedzeniem, że kasty już przestały istnieć, kasta bowiem, pojęta w swym właściwym, tradycyjnym znaczeniu, nie jest niczem innym, jak samą naturą indywidualną z całokształtem specjalnych uzdolnień, które to uzdolnienia przygotowują każdego człowieka do spełniania takiej lub innej funkcji. Z chwilą zaś, gdy dostęp do jakichkolwiek czynności nie podlega już żadnej uzasadnionej regule, wynika nieuchronnie, że każdy będzie wykonywał jakiegobądź czynności, często takie, do których jest jak najmniej zdatny, rola zaś jego w społeczeństwie będzie określona nie przez traf - który w istocie nie istnieje (1) - ale przez to, co daje złudzenie ślepego trafu, czyli przez zazębienie różnego rodzaju przypadkowych okoliczności. Najmniejsze mieć tu będzie znaczenie jedyny czynnik, który powinienby znaczyć w podobnym wypadku; mamy tu na myśli różnice usposobienia, istniejące między ludźmi.

Przyczyną całego tego bezładu jest zaprzeczenie tych właśnie różnic, tyczące się również i hierarchji społecznej; zaprzeczenie to, zrazu może ledwie świadome i objawiające się raczej w praktyce, niż w teorji - pomieszanie kast bowiem poprzedziło ich zupełne skasowanie, a raczej, innymi słowy, pomyłono się co do natury poszczególnych jednostek, zanim się nauczono nie brać ich zupełnie pod uwagę - zaprzeczenie to więc, powtarzamy, zostało przez współczesnych podniesione do godności pseudo-zasady pod nazwą "równość". Byłoby zbyt łatwym zadaniem wykazać, że równość nie może nigdzie istnieć, dla tej prostej przyczyny, że niema dwóch istot, które byłyby jednocześnie wyraźnie odrębne i zupełnie podobne do siebie pod każdym względem; równie łatwo możnaby wykazać wszystkie bezsensowne skutki, wynikające z tego urojonego pojęcia, w imię którego narzuca się wszędzie jednakowy szablon, jak np. dając wszystkim jednakowe wykształcenie, tak, jakgdyby wszyscy byli w stanie rozumieć te same rzeczy, lub też jakgdyby do pojęcia tychże można było stosować dla wszystkich bez różnicy jedne i te same metody. Możliwość postawić pytanie, czy nie chodzi tu raczej o wyuczenie się, niż o zrozumienie prawdziwe, to znaczy, czy inteligencja nie jest tu zastąpiona pamięcią, w pojęciu czysto słownem i

"książkowem" obecnego systemu nauczania, dążącego jedynie do nagromadzenia pierwotnych i luźnych wiadomości i w którym chodzi o ilość tych wiadomości, a nie o ich rodzaj; dzieje się to w świecie współczesnym z przyczyn, które wyjaśnimy dokładniej nieco dalej: jest to zawsze rozproszenie w wielorakości. Można by tu powiedzieć wiele o błędach nauczania przymusowego, nie tu miejsce jednak nad tem się zastanawiać; nie chcąc zaś wychodzić z ram, któreśmy sobie zakreślili, musimy się zadowolić zaznaczeniem mimochodem owego specjalnego skutku teorii równości, jako jednego z czynników nieładu, czynników zbyt licznych, aby można je wymienić wszystkie, nie pominawszy z nich ani jednego.

Oczywiście, jeśli znajdziemy się wobec pojęcia takiego, jak "równość" lub "postęp", lub też wszelkich innych dogmatów świeckich, na ślepo przyjmowanych przez prawie wszystkich naszych współczesnych, dogmatów, z których największa część zaczęła się kształtować w XVIII stuleciu, to staje się niemożliwością przypuszczenie, że takie pojęcia mogły się zrodzić spontanicznie. Są to rzeczywiste sugestje, w najściślejszym tego słowa znaczeniu, nie mogące wywierać wpływu gdzieindziej, jak tylko w środowiskach, na przyjęcie ich przygotowanych; pojęcia te nie wytworzyły same całkowicie stanu umysłu, charakteryzującego epokę współczesną, ale znacznie przyczyniły się do rozwoju jego w stopniu, którego by sam przez się nie zdołał osiągnąć. Gdyby te sugestje się rozwiały, ogólna umysłowość rychłoby zmieniła orientację, dlatego też są one tak starannie podtrzymywane przez tych wszystkich, którym zależy na podtrzymywaniu nieładu, jeśli już nie na powiększaniu takowego; stąd również w czasach, w których wszystko podlega dyskusji, jedynie te właśnie pojęcia nie bywają dyskutowane. Trudno jest zresztą określać dokładnie stopień szczerości tych, którzy zajmują się propagandą podobnych pojęć, jak również zbadać, do jakiego stopnia ludzie dają się brać na lep własnych kłamstw i sugestjonują siebie samych, sugestjonując innych; a nawet w tej propagandzie ci właśnie naiwni, poddający się własnej sugestji, są najlepszymi narzędziami, wnoszą tu bowiem głębokie przeświadczenie, któreby inni z trudnością mogli symulować i które łatwo się udziela. Poza tem wszystkiemu jednakże potrzebna jest akcja, najzupełniej świadoma, potrzebny jest kierunek, który może być nadany jedynie przez ludzi zdających sobie dokładnie sprawę z myśli, wypuszczonych przez siebie w obieg. Użyliśmy tu wyrażenia "myśli", określenie to jednak nie jest tu właściwie użyte, jest bowiem rzeczą oczywistą, że nie chodzi tu o myśl oderwaną, ani o cokolwiek, mogącego być choćby w przybliżeniu zaliczonym do kategorii "intelektu". Są to myśli fałszywe, jeśli chcemy; lepiej, by je wszakże określić jako "pseudomyśli", przeznaczone głównie do wywoływania reakcji sentymentalnych, co jest w samej rzeczy środkiem najłatwiejszym i najskuteczniejszym dla oddziaływania na masy. Pod tym względem "słowo" ma tu większe znaczenie od pojęcia, które ma wyrażać i po największej części

"bożki współczesne" są właściwie tylko słowami. Okazuje się tu bowiem ten osobliwy fenomen, znany pod nazwą "werbalizmu", kiedy to dźwięk słów wystarcza, by dać złudzenie myśli. Wpływ, wywierany przez mówców na tłumy, jest szczególnie charakterystyczny w tym względzie; nie potrzeba go studjować bliżej, by uświadomić sobie, że chodzi tu o działanie sugestji, którą porównać można do sugestji hipnotyzerów.

Nie zatrzymując się dłużej nad temi spostrzeżeniami, powróćmy do skutków, jakie pociąga za sobą zaprzeczenie wszelkiej prawdziwej hierarchji i zauważmy, że w obecnym stanie rzeczy człowiek nietylko pełni odpowiednią dla siebie funkcję jedynie przypadkowo i w drodze wyjątku, podczas kiedy właśnie taki stan rzeczy powinienby się zaliczać do wyjątków, ale jeszcze się zdarza, że jeden i ten sam człowiek bywa powołany do pełnienia coraz to innych funkcji, tak, jakgdyby mógł zmieniać dowolnie swoje uzdolnienia. Wydać to się może paradoksem w tej epoce "specjalizacji", ale tak się dzieje w istocie, osobliwie w dziedzinie polityki. Jeżeli kompetencja "specjalistów" bywa często bardzo złudną, a w każdym razie bywa zamkniętą w ramach bardzo ciasnych, to wiara w tę kompetencję jest jednakże faktem. Można więc zadać sobie pytanie, jak się to dzieje, że wiara ta nie odgrywa już żadnej roli, jeśli chodzi o karierę polityków, w której najzupełniejszy nawet brak tej kompetencji rzadko kiedy stanowi przeszkodę? Przy bliższem jednakże zastanowieniu się dochodzimy do wniosku, iż nic w tem niema osobliwego, ponieważ jest to wynik bardzo naturalny pojęcia "demokracji", mocą którego wiadza przychodzi z dołu, opierając się przedewszystkiem na większości, co znowu ma, jako nieunikniony skutek, wykluczenie wszelkiej istotnej kompetencji, ponieważ wszelka kompetencja związana jest z pojęciem pewnej wyższości, nawet względnej i może być jedynie przywilejem mniejszości.

Pewne wyjaśnienia nie będą tu zbędnymi: z jednej strony, aby wykazać sofizmaty, ukrywające się pod pojęciem "demokracji", z drugiej zaś strony węzły, wiążące te pojęcia z całokształtem umysłowości współczesnej. Wobec zajętego przez nas stanowiska nie potrzeba wyjaśniać, że wszystkie te uwagi czynione są poza nawiasem wszelkich konfliktów politycznych, w których, czy to zbliska, czy zdaleka, nie rozpoznajemy się zgoła. Zapatrujemy się na te kwestje w sposób, najzupełniej bezinteresowny, tak, jakgdyby tu chodziło o każdy inny przedmiot badań, starając się jedynie uświadomić sobie jaknajdokładniej, co spoczywa na dnie tych zagadnień; stosowanie tej metody jest niezbędnym i dostatecznym warunkiem do rozwiania wszelkich złudzeń, jakie mają pod tym względem nasi współcześni. Chodzi tu również właściwie o "sugestję", tak, jak to mówiliśmy przed chwilą, poruszając pojęcia nieco różne, choć pokrewne; skoro zaś ma się świadomość, że to sugestja, skoro się zrozumiało jej działanie, nie można już tej sugestji podlegać. W tego rodzaju kwestjach badanie głębsze i czysto "objektywne", używając specjalnego

żargonu, zapożyczonego od filozofów niemieckich, jest znacznie skuteczniejsze od wszelkich deklamacji sentymentalnych i od wszelkich polemik partyjnych, które niczego nie dowodzą i są tylko wyrazem zwykłych upodobań indywidualnych.

Najsilniejszy argument przeciwko demokracji daje się streścić w kilku słowach: Pierwiastek wyższy nie może pochodzić z niższego, ponieważ "plus" nie może wynikać z "minusu". Jest to absolutna prawda matematyczna, której nic nie może obalić. Należy zauważyć, że ten sam argument, zastosowany w innej dziedzinie, służy również przeciwko materializmowi. Niema nic przypadkowego w tym uzgodnieniu i dwa te zagadnienia są znacznie ściślej związane ze sobą, niżby się to mogło na pierwszy rzut oka wydawać. Jest aż nazbyt jasnym, że lud nie może udzielać władzy, której sam nie posiada: prawdziwa władza nie może pochodzić skądinąd, jak tylko z góry. Dlatego, zauważmy to mimochodem, władza nie może zostać uprawniona, jak tylko przez coś wyższego nad porządek społeczny, czyli przez autorytet duchowy; jeżeli jest inaczej, będzie to tylko karykatura władzy, jedynie "stan faktyczny", jednak z braku zasady nie usprawiedliwiony, w którym panować może jedynie nieporządek i zamieszanie. Takie obalenie wszelkiej hierarchji rozpoczyna się z chwilą, gdy władza doczesna chce się wyzwolić z pod władzy duchowej, następnie, gdy chce ją uczynić sobie podległą pod pozorem użycia jej do celów politycznych; jest to pierwsza uzurpacja, otwierająca drogę następnym i możnaby wykazać, że np. królowie francuscy już od XIV wieku pracowali nieświadomie nad przygotowaniem Rewolucji, która miała ich obalić. Innym razem będziemy może mieli sposobność rozwinąć lepiej ten punkt widzenia, który dziś możemy wskazać jedynie bardzo pobieżnie.

Jeżeli określimy demokrację, jako rządzenie się ludu własną, od niego samego pochodzącą władzą, to stajemy wobec niemożliwości, wobec rzeczy, która faktycznie nie może istnieć, ani w naszej epoce, ani w żadnej innej; nie można dać się oszukać słowom, a jest przecież sprzecznością uznać za możliwe, aby jedni i ci sami ludzie byli równocześnie rządzącymi i rządzonymi. Albowiem, chcąc tu użyć języka Arystotelesa, jedna i ta sama istota nie może istnieć w "czynności" i "w potędze", w tym samym czasie i w tym samym stosunku. Panujący tu stosunek wywołuje z konieczności dwa określenia: Nie byłoby rządzonych, gdyby równocześnie nie było rządzących, nawet gdyby ci sprawujący rządy sprawowali je bezprawnie, bez innego prawa, jak to, które sobie przywłaszczyli sami; cała umiejętność rządzących w świecie współczesnym polega na wpajaniu w lud przekonania, że rządzi sam sobą, a lud chętnie wierzy temu twierdzeniu, zwłaszcza, że mu ono pochlebia i że sam nie jest w stanie zastanowić się głębiej, by się przekonać, że jest ono niemożliwością. Dla wytworzenia tego właśnie złudzenia zostało wymyślone "powszechnie głosowanie"; opinja większości ma nibyto stanowić prawo, czego

się jednak nie spostrzega, to właśnie tej prawdy, że opinia jest czynnikiem, dającym się bardzo łatwo kierować i urabiać zawsze zapomocą stosownych sugestji, że można w tej opinii wywoływać prądy w tym lub innym określonym kierunku. Nie pamiętamy już, kto pierwszy użył określenia co do "fabrykowania opinii"; jest to określenie najzupełniej słuszne, choć należy tu dodać, że niezawsze ci sprawujący na pozór władzę mają w rzeczywistości potrzebne środki do rozporządzenia dla osiągnięcia tego skutku. To ostatnie spostrzeżenie tłumaczy przyczynę, dla której brak kompetencji u polityków, znajdujących się na "świeczniku", ma jedynie znaczenie bardzo względne. Ponieważ jednak nie chodzi nam tu o rozbieranie części składowych tak zwanej "machiny rządzącej", poprzestajemy na zaznaczeniu, że brak właśnie tej kompetencji daje możliwość podtrzymywania tego wyżej wspomnianego przez nas złudzenia. Jedyne bowiem w tych warunkach politycy, o których mowa, mogą uchodzić jako emanacja większości, będąc niejako jej odbiciem, albowiem większość, powołana do wygłoszenia swego zdania w jakiegokolwiek kwestji, jest zawsze złożona z osobników niekompetentnych, których liczba jest zawsze większą od liczby tych, którzy są w stanie wypowiedzieć się z całkowitą znajomością rzeczy.

Prowadzi nas to do określenia, na czym polega zasadniczy fałsz pojęcia, że większość ma stanowić prawo, gdyż nawet, jeśli to pojęcie siłą rzeczy jest najzupełniej teoretyczne, pozostaje jeszcze do wytłumaczenia, w jaki sposób mogło się ono zakorzenić w umyśle współczesnym, oraz jakie są dążności tegoż umysłu, którym to pojęcie odpowiada i które pozornie zadawalnia. Błąd najwidoczniejszy, to ten właśnie, któryśmy tylko co wskazali: zdanie większości może być jedynie wyrazem niekompetencji, która z kolei wynika z braku inteligencji lub z prostej i czystej ignorancji. Możliwość tu przytoczyć pewne spostrzeżenia z dziedziny "psychologii zbiorowej", a mianowicie przypomnieć fakt dość znany, że w tłumie zbiorów reakcji umysłowych, objawiających się wśród jednostek, tłumy tworzących, wytwarza rezultat, nie osiągający nawet poziomu przeciętności, ale poziom czynników najniższych. Możliwość tu z drugiej strony zauważyć, jak to niektórzy filozofowie współcześni chcieli zaszczerpić w dziedzinie intelektualnej teorię "demokratyczną", obwieszczającą przewagę zdania większości, czyniąc z tak zwanej zgody ogółu pozorne "kryterjum prawdy". Nawet przypuszczając, że istnieje w rzeczywistości kwestja, co do której wszyscy ludzie mieliby uzgodnione zdanie, to uzgodnienie nicby samo przez się nie dowodziło. Prócz tego nawet, gdyby ta jednomyślność istniała istotnie - co jest zawsze wątpliwem, tembardziej, że jest zwykle znaczna liczba ludzi, nie mających żadnego zdania w jakiegokolwiek kwestji i którzy nawet nigdy nie zastanawiali się nad daną kwestją - byłoby w każdym razie niemożliwością stwierdzić faktycznie powyższą jednomyślność, tak, że to, co się przytacza na korzyść danej opinii i jako dowód jej prawdziwości, okazuje się tylko zgodą największej liczby ludzi, zgodą, zamkniętą w środowisku bardzo

ograniczonem w czasie i przestrzeni. W dziedzinie tej uwydatnia się jeszcze bardziej, że teoria ta pozbawiona jest podstawy, gdyż łatwiej tu przychodzi uodpornienie się na wpływy uczucia, które wchodzi w grę, jako nieomal że nieuniknione, gdy chodzi o dziedzinę polityczną. Jest to właśnie wpływ sentymentu, stanowiącego jedną z głównych przeszkód do zrozumienia niektórych rzeczy, nawet dla tych, którzy skądinąd mają zdolność umysłową, w pełni wystarczającą, aby bez trudu zrozumienie to osiągnąć. Impulsy emocjonalne przeszkadzają zastanowieniu się; jednym z najpospolitszych wybiegów polityki jest właśnie umiejętność, wykorzystująca tę niezdolność zrozumienia.

Zbadajmy jednak samo sedno kwestji: czym jest właściwie to prawo większości, na które się powołują rządy współczesne i z którego czerpią swoje usprawiedliwienie? Jest to poprostu prawo materji i siły brutalnej, prawo, mocą którego masa, pędzona własnym ciężarem, rozgniata wszystko, co staje na jej drodze. Tu właśnie znajduje się punkt styczności pomiędzy pojęciem "demokracja" a "materjalizm"; dlatego właśnie pojęcie to jest tak ściśle związane z umysłowością obecną. Jest to zupełny przewrót porządku normalnego, ponieważ jest to ogłoszenie przewagi wielorakości samej przez się, przewagi, istniejącej jedynie w świecie materjalnym (2) - w świecie duchowym bowiem, a wyrażając się prościej: we wszechświecie, jednostka znajduje się u szczytu hierarchji, gdyż ona jest zasadą, z której płynie wszelka wielorakość (3); skoro jednak przyczyna zostanie negowaną lub nie uwzględnioną, zostaje tylko wielorakość, która identyfikuje się z materją jako taką. Z drugiej strony aluzja nasza do ciężkości jest nie-tylko prostem porównaniem, ciężkość bowiem w dziedzinie sił fizycznych, w zwykłym znaczeniu tego słowa, przedstawia dążność obniżającą się i kompresywną, której wynikiem jest coraz to większe ograniczenie jednostki, a która dąży jednocześnie w kierunku potęgi ilościowej, wyobrażonej w naszym porównaniu coraz to ściślejszą gęstością (4); skłonność ta jest właśnie, która oznacza kierunek rozwoju działalności ludzkiej na początku epoki współczesnej. Prócz tego należy zauważyć, że materja przez swoją potęgę podzielności, a zarazem ograniczenia, jest tem, co nauka scholastyczna nazywa "zasadą indywidualizacji" i argument ten łączy niniejsze nasze spostrzeżenia z poprzednimi naszymi wywodami co do indywidualizmu.

Ta sama dążność, o której mowa, jest również, rzecz można, dążnością "wyodrębniającą", tą, według której ma miejsce to, co tradycja judejsko-chrześcijańska określa jako "upadek" istot, które się oddzieliły od jedności pierwotnej (5). Wielorakość, rozpatrywana poza swą zasadą i która przez to nie może być sprowadzona do jedności, przedstawia w porządku społecznym zbiorowość, pojętą jako zwykłą sumę arytmetyczną jednostek, z których się składa i zbiorowość taka nie jest w samej rzeczy niczem innym, o ile żadna wyższa zasada nie łączy jej z jednostkami i prawo zbiorowości pod tym

względem jest właśnie prawem o największej ilości, na którym się opiera pojęcie demokratyczne.

Tu należy nam się zatrzymać chwilę, aby rozwiać możliwe pomieszanie pojęć. Mówiąc o indywidualizmie współczesnym, rozpatrywaliśmy jego przejawy prawie wyłącznie w dziedzinie intelektualizmu, możnaby zatem mniemać, że, o ile chodzi o ustrój społeczny, rzecz ma się zgoła inaczej. Istotnie, biorąc określenie „indywidualizmu” w najbardziej ograniczonym jego znaczeniu, byłoby się skłonny przeciwstawić zbiorowość jednostce i myśleć, że fakty takie, jak rola coraz to więcej zaborcza państwa i wzrastająca różnorodność instytucji społecznej, są oznaką dążności przeciwnej indywidualizmowi. W rzeczywistości jest wręcz przeciwnie, gdyż zbiorowość, nie będąc niczem innym, jak ogólną sumą jednostek, nie może im być przeciwstawioną, tak samo, jak nie może być im przeciwstawione państwo, pojęte na sposób współczesny, czyli jako zwykłe przedstawicielstwo masy, w którym nie przebija żadna zasada wyższa; właśnie bowiem na zaprzeczeniu wszelkiej zasady nadindywidualnej polega indywidualizm taki, jakimiś tu określili. Jeżeli zatem w dziedzinie społecznej istnieją tarcia między różnymi dążnościami, należącymi w jednakowej mierze do ducha współczesnego, tarcia te nie zachodzą pomiędzy indywidualizmem a czem innym, ale poprostu pomiędzy różnorodnymi odmianami, którym sam indywidualizm, podlega; łatwo tedy uprzytomnić sobie, że wobec braku wszelkiej przyczyny, zdolnej zjednoczyć prawdziwie wielorakość, tarcia takie muszą być liczniejsze i poważniejsze w naszych czasach, niż w jakiegokolwiek innej epoce. Kto bowiem mówi: indywidualizm, mówi z konieczności: rozdział. Ten zaś rozdział, wraz ze stanem chaotycznym, który zeń wynika, jest fatalnym skutkiem cywilizacji najzupełniej zmaterjalizowanej, ponieważ właśnie materja jest korzeniem rozdziału i wielorakości.

Ustaliliśmy to, trzeba nam jeszcze nalegać na bezpośredni skutek "idei demokratycznej", będącej zaprzeczeniem elity, pojętej w jedynym jej słusznym znaczeniu. Nie bez przyczyny "demokracja" przeciwstawia się bezpośrednio "arystokracji"; to ostatnie określenie oznacza właśnie - przynajmniej, jeśli jest rozpatrywane w swym znaczeniu etymologicznym - władzę elity. Elita, w dokładnym ujęciu, nie może istnieć, jak tylko w niewielkiej liczbie, władza jej, a raczej autorytet, pochodzący li tylko z jej wyższości intelektualnej, nie ma nic wspólnego z siłą liczebną, tą podstawą "demokracji", której cechą istotną jest poświęcenie mniejszości na rzecz większości, a przez to samo, jak wspominaliśmy wyżej, gatunku na rzecz ilości, a co za tem idzie - elity na rzecz masy.

Rolą kierowniczą prawdziwej elity jest samo jej istnienie, z konieczności bowiem odgrywa ona tę rolę, skoro istnieje, jest zatem radykalnie przeciwną

"demokracji", związanej ściśle z pojęciem "równości", czyli z zaprzeczeniem wszelkiej hierarchji. Samą podstawą idei "demokratycznej" jest twierdzenie, że każdy poszczególny osobnik wart jest drugiego, gdyż są równi sobie ilościowo, choć nigdy innej równości, jak ilościowej, nie będą w stanie osiągnąć. Prawdziwa elita, jak wspomnieliśmy wyżej, może być tylko intelektualną, dlatego to właśnie "demokracja" nie może wprowadzić się gdzieindziej, jak tylko tam, gdzie czysty intelektualizm nie istnieje, jak się to dzieje obecnie z naszym światem współczesnym. Tylko, ponieważ równość jest faktycznie niemożliwą, gdyż w praktyce nie można znieść wszelkich różnic między ludźmi, pomimo wszelkich wysiłków niwelacyjnych, dochodzi się zapomocą ciekawej nielogiczności do tworzenia fałszywych elit, bardzo różnorodnych, dążących do zastąpienia prawdziwej elity; owe fałszywe elity opierają swe istnienie na jakich bądź wyższościach, wybitnie względnych i przypadkowych, a zawsze w czysto materialnym zakresie. Łatwo to można stwierdzić, zważywszy, że wyróżnienie społeczne, mające obecnie największe znaczenie, jest to, które się opiera na majątku, czyli na wyższości najzupełniej zewnętrznej, oraz ilościowej; jedyne to wyróżnienie, dające się uzgodnić z "demokracją", ponieważ wychodzi z tego samego punktu widzenia. Dodamy zresztą, że ci, którzy występują jako przeciwnicy tego stanu rzeczy, nie wprowadzając przytem żadnej zasady natury wyższej, nie są w możności zaradzić skutecznie temu nieładowi, nawet wówczas, jeśli go nie potęgują, idąc wciąż dalej w tym samym kierunku; walka toczy się jedynie wśród odmian "demokracji", akcentując mniej lub więcej dążność do "równości", taką, jaka występuje wśród różnorodnych odmian indywidualizmu, co zresztą na jedno wychodzi.

Ta garść uwag wydaje nam się wystarczającą dla scharakteryzowania społecznego współczesnego świata, wykazując jednocześnie, że w tej dziedzinie, tak, jak i w innych, jeden jest tylko środek wydobywania się z chaosu - powrót do intelektualności, a zatem przygotowanie elity, która obecnie nie istnieje na Zachodzie. Nie można bowiem określić tą nazwą kilku pierwiastków odosobnionych i nie skoordynowanych, które przedstawiają niejako możliwości nierozwinięte. W samej rzeczy pierwiastki te mają na ogół tylko dążności lub aspiracje, pobudzające je do reagowania na współczesnego ducha, bez możliwości istotnego działania ich wpływu; to, co im zbywa, to prawdziwa wiedza, przekazana przez tradycję, której zaimprovizować niepodobna, a inteligencja, puszczonej samopas w tak pod każdym względem niepomysłnych okolicznościach, nie może tego zastąpić, jak tylko bardzo nieudolnie i w nader ograniczonej mierze.

Istnieją zatem jedynie wysiłki rozprószone, które się często zatracają na skutek braku zasad i kierunku doktryny. Rzeczyby można, że świat współczesny broni swego ustroju swem własnym rozdrobnieniem, od którego nawet jego przeciwnicy nie umieją się ustrzec. Taki stan rzeczy trwać będzie, dopóki ci

ostatni będą stali na gruncie "świeckim", na którym duch współczesny posiada bardzo wybitny atut, ponieważ jest to jego własna i wyłączna dziedzina; zresztą, jeżeli przy tym gruncie obstają, to dlatego, że mimo wszystko duch ten ma na nich bardzo wielki wpływ.

Z tego to właśnie powodu tylu ludzi, ożywionych niezaprzeczenie dobrą wolą, nie jest w stanie pojąć, że należy z konieczności rozpocząć od zasad i upierają się przy rozdrabnianiu sił w takiej lub innej dziedzinie relatywnej, społecznej czy innej, w której nie można w tych warunkach dokonać nic istotnego lub trwałego. Prawdziwa elita przeciwnie, nie powinna wkraczać bezpośrednio w te dziedziny, ani mięszać się do działalności zewnętrznej, powinna natomiast kierować wszystkim swoim wpływem, nieuchwytnym dla gminu, tem głębszym, im mniej byłby widocznym.

Rozmyślając o potędze sugestji, o której wspominaliśmy wyżej, a która nie dopuszcza żadnego prawdziwego intelektualizmu, będziemy mogli mieć wyobrażenie, jak wielką tembardziej byłaby potęga takiego wpływu, wywieranego w jeszcze większym ukryciu ze względu na jego naturę i bieżące źródło swe w czystej umysłowości - potęga, która zresztą, zamiast być osłabioną rozdziałem, tkwiącym w wielorakości i słabością, nieodłączną od kłamstwa i złudzenia, byłaby, przeciwnie, wzmocnioną przez skupienie w jedności zasadniczej i zidentyfikowałaby się z samą siłą prawdy.

To, co ludzie nazywają trafem, jest poprostu nieznaną im przyczyną; gdyby przez powiedzenie, że "coś się stało przypadkiem", chciało się wyrazić, że dane wydarzenie stało się bez przyczyny, byłoby to przypuszczenie sprzeczne samo w sobie.

Wystarczy przeczytać św. Tomasza z Akwinu, by zrozumieć "numerus stat ex parte materiae".

Z jednych kategorii rzeczywistości do drugich analogja tu, jak również we wszystkich wypadkach podobnych, musi być ściśle stosowana w kierunku odwrotnym.

Dążność tę tradycja hinduska określa jako Tamas i utożsamia ją z ciężkością i ignorancją; zauważa się, że wedle tego, cośmy mówili o stosowaniu analogji, kompresja, czyli kondensacja jest przeciwieństwem koncentracji duchowej lub intelektualnej, tak, że chociaż wydać się to może dziwnem na pierwszy rzut oka, jest ona korelatywną rozdziałowi i zatraceniu się wielorakości. Rzecz się ma tak samo z jednostajnością, urzeczywistnioną od dołu na najniższym poziomie, według pojęcia "równości", które jest na przeciwnym krańcu jedności wyższej i zasadniczej.

Dlatego to Dante umieścił symboliczne miejsce pobytu Lucyfera w samym środku ziemi, czyli w miejscu, w którym zbiegają się ze wszystkich stron siły

ciężkości; biorąc rzecz z tego punktu widzenia, jest to strona przeciwna centrum atrakcji duchowej lub niebiańskiej, której symbolem jest słońce, według największej części tradycyjnych doktryn.

René Guénon

(źródło: R. Guénon, *La crise du monde moderne*, 1927
tłum. *Nasza Przyszłość*, t. XXX, 1933)

<http://tradycjonalizm.net/reneguenon/chaos.html>

LIST OTWARTY do p. A. Słonimskiego*)

Z powodów, które dla uważnego czytelnika tej książki będą oczywiste, mam wielu wrogów, którzy starają się każde moje wystąpienie przedstawić w fałszywym świetle. Przychodzi im to tym łatwiej, że w ciągu ostatnich siedmiu lat społeczeństwo polskie podzielone było na szereg odłamów (Kraj, W. Brytania, Bliski Wschód, II. Korpus, Szwajcaria, Francja itp.), odciętych od siebie niemal hermetycznie. Korzystam więc ze sposobności, by przedrukować tu kilka dokumentów, na podstawie których czytelnik będzie mógł wyrobić sobie samodzielny pogląd na racje moich wystąpień.

Szanowny Panie

1.III.1941

Z »Wiadomości Polskich« z dn. 2. bm. dowiedzieliśmy się, jakiej Polski Pan nie chce. Naszkicował Pan również z grubsza, jaki układ stosunków odpowiadałby Panu po wojnie. Słowa Pańskie mają dla nas dużą wagę, bo nie od dziś uważamy Pana za sztandarowy intelekt przeciwnego nam obozu. Pisze Pan »zwalczałem w Polsce wpływy komunistyczne«. A przecież nie kto inny niż Pan napisał »Czarna wiosną«? Dziś mieni się Pan socjalistą i demokratą. O tak drobną ewolucję nie będziemy się spierali, bo zawsze pozostał Pan w ramach tego samego sposobu myślenia, międzynarodowego, nieskalanego żadnym nacjonalizmem, nawet żydowskim. Jest Pan niewątpliwie autorytetem swego obozu. Definicje Pana wyjaśniają autorytatywnie o co chodzi. Obowiązkiem naszym jest odpowiedzieć równie jasno, w granicach dyktowanych względami na naszych angielskich gospodarzy i na polskich denuncjatorów.

Wejdźmy od razu w sedno sprawy. Wierzy Pan, mam wrażenie że szczerze, w nadejście chwili, kiedy ludzie staną się od jednego zamachu znacznie lepsi niż są obecnie i dzięki temu świat ulegnie — od jednego zamachu — zasadniczemu przeobrażeniu.

W każdej epoce byli ludzie, którzy wierzyli, że właśnie za dwa lub trzy lub pięć lat świat ulegnie raptownej naprawie. Ma Pan wielu bardzo poprzedników w tym złudzeniu i będzie Pan miał wielu następców. Swojego czasu ta chwila raptownej naprawy świata miało być zajęcie przez bolszewików Warszawy. Obecnie chwila ta ma być moment zakończenia wojny.

My nie wierzymy w raptowną naprawę ludzi. Nie wierzymy, by za dwa czy trzy lata, czy za pięć, ludzie na świecie mieli być zasadniczo lepsi, niż są dziś. Cześć ludzi wojna zdemoralizuje, cześć uszlachetni. *Per saldo* nie wiele się zmieni. Wierzymy, że jest tylko jeden sposób na ulepszenie człowieka, a mianowicie powolne hartowanie go w ogniu wiary i moralności chrześcijańskiej. Takim to wolnym procesem wzniosła się Europa na wyżyny. Niestety proces ten od paru wieków przebiega wstecz. Ludzkość odwraca się od Chrystusa. Stąd płyną straszne przeżycia Europy w XX wieku. Wprawdzie katolicyzm ostatnio odradza się i potężnieje, lecz protestantyzm rozkłada się. Niemcy przeżywają katastrofę (w znaczeniu "kryzys" - K.J.) Chrystianizmu. W rezultacie świat nie będzie w roku 1944 bardziej chrześcijański niż był w roku 1900. Gdyby mnie Pan zapewnił, że świat za sto lat będzie lepszy, to mógłbym wziąć to twierdzenie na serio. Nie wierze natomiast, by przeciętny Europejczyk był lepszy za parę lat, to jest w chwili, gdy kształtować będziemy świat powojenny. A tylko z lepszych ludzi można ulepić lepszy świat.

Pisze Pan: »Wszystko wskazuje na to, że do starych kategorii już po tej wojnie nie wrócimy.« I pisze Pan dalej: »Zjednoczenie europejskie już się kształtuje, już jest przedmiotem rozważań najwybitniejszych umysłów epoki, już jest w zasięgu działań realnych polityków. Na czele demokracji amerykańskiej stoi dziś człowiek wielki. Współpraca demokracji amerykańskiej z demokracją angielską nie skończy się po zwycięskiej wojnie. Idziemy do olbrzymich i śmiałych przeobrażeń, zarówno politycznych jak społecznych.« Te same słowa mógł Pan napisać w roku 1917. Żadne z takich proroctw nie sprawdziło, się po poprzedniej wojnie. I po tej wojnie niewiele się z tego sprawdzi. Jest to losem ludzi takich jak Pan, że nic z ich słów nigdy się nie sprawdza. Nie, proszę Pana, w jednym pokoleniu dwa razy ludzi na fałszywe przepowiednie nabrać się nie da. Nie uwierzemy po raz drugi w te utopie. I losu Polski nie ufundujemy na takim lotnym piasku.

Wierzymy, że po tak wielkim wstrząsie nastąpią wielkie zmiany. Ale zmiany te będą powierzchowne, zewnętrzne, zmiany w osobach, granicach i formach,

natomiast istota procesów rządzących ludzkością zostanie bez zmiany. Prawo rządzie będzie nadal tylko tam, gdzie będzie miało za sobą siłę wykonawczą i nadzorczą, tzn. tam, gdzie społeczeństwo będzie na wysokim poziomie etycznym. Jedne narody będą rozkwitały, inne będą upadały. Federacje, unie, Commonwealthy będą się rozwijały tam, gdzie będą wyrazem naturalnych dążeń. Narzucone sztucznie załamią się żałośnie, narobiwszy przedtem wiele szkody.

Pisze Pan, że po tej wojnie »przyjdzie zmierzch nacjonalizmów«. Zdaniem Pana »po tej wojnie wielkie demokracje będą siłą najpotężniejszą. Siła ta nie może dopuścić do nowego odrodzenia się nacjonalizmów«. Zupełnie Pana nie rozumiem. Szanowny Panie, nacjonalizm to rzecz stara jak świat, stara jak Egipt czy Ateny, Sparta, Persja, Rzym. Nacjonalizm, to po prostu uczucie przywiązania do własnego narodu i wszystkie wynikające z tego uczucia konsekwencje. Jeśli to uczucie jest zbyt nieopanowane i zakłóca współżycie wielkiej rodziny ludów zwanej ludzkością, wtedy mówi się o szowinizmie. Pan zwykł w takich razach mówić o nacjonalizmie zoologicznym. Proszę bardzo. Zwyrrodnienia nacjonalizmu wolno tępić, powinno się tępić. Ale mówić o tym, że nacjonalizmy kiedykolwiek na świecie zanikną, to naiwność. To nie jest na poziomie, Szanowny Panie. Choćby po tej wojnie miały zaniknąć wszystkie inne nacjonalizmy, dwa zostaną na pewno: angielski i żydowski.

Gdy się mnie ludzie pytają, co najwięcej podziwiam w Anglii, odpowiadam stale: nacjonalizm angielski. Uczmy się od Anglików nacjonalizmu. Myśl, że Anglicy mogliby po tej wojnie przestać być nacjonalistami, jest tak zabawna w swej utopijności, że — Pan wybaczy, Panie Antoni — śmiech mnie bierze. Goliłem się niedawno w Londynie u fryzjera, Polaka, który mieszka tam już od dwudziestu kilku lat. Dałbym Panu jego adres, ale boje się to uczynić, bo ten fryzjer to twardy Poznaniak i gotów byłby Pana zaciąć. Otóż ten znawca spraw angielskich (lepszy od nas obu) tak mi oświadczył: »Panie, z Anglikami do tej pory trudno już było się dogadać, ale jak te wojnę wygrają sami przeciw całemu światu, to już chyba bez kija trudno będzie do nich dostąpić.« Tak bestia powiedział.

Boli Pana, że tu i ówdzie ktoś mówi o imperializmie polskim. A wie Pan, czym byłaby zbyt szeroko zakrojona europejska federacja? Nie taki sobie naturalny związek paru państw pokrewnych jak np. Czech, Polski, Słowaczyny, Litwy — ale federacja w rodzaju Stanów Zjednoczonych Europy, złożonych z kilkunastu państw? Byłoby to, Szanowny Panie, po prostu poszerzone Imperium angielskie. Ten zlepek państw tyle tylko miałby karność, ile wymusiłyby na spółkę R.A.F. i Royal Navy. Owszem, jest to koncepcja, która wielu ludziom może się uśmiechać, ale nazywajmy ją po imieniu: Imperium brytyjskie, poszerzone na kontynent europejski. Czy Pan, Panie Antoni, widział kiedy na

świecie wspanialszych nacjonalistów i imperialistów jak Churchill, Eden czy Beyin? Syn Ramsay'a MacDonald'a jest już Wysokim Komisarzem Kanady. Czy Pan na serio podtrzymuje swe twierdzenie, że po tej wojnie imperializm brytyjski zaniknie? I nacjonalizm brytyjski?

A może Pan przewiduje zanik syjonizmu? A może się Panu zdaje, że w Rosji lub w tej drugiej wielkiej demokracji za Atlantykiem niema nacjonalizmu? I nie będzie po wojnie?

Sorry, Panie Antoni, ale nacjonalizmy zawsze były i będą. Jest nas wielu, którzy staramy się i starać będziemy o jak najwyższą kulturę polskiego nacjonalizmu. Dużo da nam pobyt w Anglii, która tak pięknie zmontowała nowoczesny naród, wytworzyła własny odcień religii, własny system elitarny pod postacią masonerii, własny ustrój gospodarczy, polityczny i wojskowy. Wielkość Anglii polega na tym, że stworzyła ustrój całkowicie narodowy. Najbliższy jej sąsiad, Francja, spróbowała przejąć od Anglii jej instytucje narodowe, masonerie, parlamentaryzm o typie anglosaskim, kapitalizm. Te same instytucje, które zrobiły wielkość Anglii, zgubiły Francje. Bo każdy naród musi sam sobie posłać, chcąc się dobrze wyspać. Toteż my nie przejmujemy od Anglików ani ich kapitalizmu, ani ich masonerii, ani ich typu parlamentaryzmu, ani ich sporów z Watykanem. Stworzymy własny ustrój polityczny, jawny. Mieliliśmy nasz własny parlamentaryzm w epoce Unii Lubelskiej (na sto lat przed pierwszym Liberum Veto) i rozrastaliśmy się wtedy w Commonwealth Rzeczypospolitej. Stać nas i teraz na wychowanie demokracji i nadanie jej własnych, polskich form. Stworzymy własny ustrój gospodarczy, nie zapożyczony ani u Adama Smitha ani u Marxa. Będziemy pilnie baczyli, by nasz katolicyzm, przy pełnej ortodoksyjności względem Rzymu, miał odcień polski, a nie np. francuski. Wywieziemy z Anglii kulturę ich wspaniałego nacjonalizmu i rozwiniemy ją w Polsce.

Żałuję, Panie Antoni, że Pan tego już na własne oczy nie zobaczy, bo wnioskuje z Pańskich słów, że Pan nie zechce do Polski wrócić. Píše Pan: »Nie chcemy żadnego wskazywania na wielkość«. Nie chcemy Polski z żelaza. Chcemy żyć w zwyczajnym kraju. Nie na szańcu, nie na bastionie, nie na barbakanie, nie na przedmurzu, ale w zwyczajnym kraju. Nie chcemy ani misyj dziejowych ani przewodnictwa, nie chcemy ani mocarstwowości ani imperializmu. Chcemy żyć w zwyczajnym kraju«.

To się Panu nie uda, Panie Antoni. Polska nie może być zwyczajnym krajem. Polska, w jej położeniu, może być tylko krajem nadzwyczajnym, i takim będzie. Píše Pan słusznie, że Polska będzie »państwem zależnym od koniunktury, od niepewnych sojuszków, zdanym na hazard wojen. Trzeba wielka mieć odwagę

sumienia, by ten kraj wymęczony pchać na drogę krwi i żelaza, by zmieniać te ziemie w obóz warowny.«

Niestety Bóg pchnął ten kraj na drogę krwi i żelaza i zmusił nas do stałego warowania na granicach. I nikt faktu tego nie zmieni gołosłownymi zapewnieniami, że będziemy sobie żyli na ziemiach polskich po wieczne czasy spokojnie, pod osłoną jakiejś federacji. My, Panie Antoni, wiemy, że Polska na zawsze zostanie warowna żelazem, nie po to by gnębić sąsiadów, lecz by żyć własnym życiem narodowym, tak jak żyją demokracje anglosaskie. Przyjmujemy do wiadomości, że Panu życie w takich warunkach nie odpowiada i że Pan chce żyć życiem zwyczajniejszym od naszego. Proponujemy więc, by Pan się został tam, gdzie demokracja już jest, a nie wracał do nas, do kraju o masach w dużej części niedojrzałych, gdzie będziemy musieli dopiero żmudnie budować demokrację od podstaw i pogłębiać kulturę naszego nacjonalizmu, w hazardzie wojen i trudach misyj dziejowych.

Słyszał Pan zapewne o istnieniu demokracji rzymskiej, która na czas potrzeby ustanawiała sobie dyktatora. Angielska demokracja czyni to samo i gdy przyjdzie potrzeba — emergency — stawia na czele narodu człowieka o tak dyktatorskim zacięciu jak Churchill. Także i Roosevelt ma w sobie więcej z Churchilla niż z Daladiera. Kraje anglosaskie będą mogły po wygranej wojnie pozwolić sobie znowu na Hooverów i Chamberlainów, a nawet na MacDonaldów. U nas stan potrzeby trwać będzie jeszcze bardzo długo, i z nim konieczność silnej władzy. Pierwszym obowiązkiem tej władzy będzie wychowanie u nas demokracji, o formach rodzimych, a nie zapożyczonych od społeczeństw anglosaskich. Zadanie to bardzo piękne i pasjonujące, ale długie i żmudne, i żadnymi frazesami go nie przyspieszymy. Jeśli Pan chce demokracji w pełni i to zaraz po wojnie, i jeśli Pan nie lubi ludzi silnej ręki, to niech Pan do Polski nie wraca. Może dopiero Pański wnuk. Jako turysta.

Napisał Pan i o tej naszej tolerancji. Że powinniśmy mówić Anglikom »o wiekowej polskiej tolerancji«. Boje się, że będzie to niedelikatnie wobec naszych gospodarzy, bo przecież w czasie, gdy u nas było eldorado tolerancji, oni skazywali na śmierć za katolicyzm i krzyżowali katolików w Irlandii na bramach stodół. I Żydów wygnali w XIII wieku, a po dziś dzień starają się ich wpuszczać do Anglii jak najmniej. Pozostaje do rozwiązania zagadka, dlaczego przy tych wątpliwych metodach Anglia wyrosła na pierwszą potęgę świata, a my przy naszej tolerancji utraciliśmy niepodległość i krwawimy się co pokolenie. Może Pan to wyjaśni, Panie Antoni? Jeśliby to miało Panu pomóc przy rozwiązaniu tej zagadki, niech Pan przeczyta co napisał w r. 1885 Francuz Edouard Drumont w »La France Juive« str. 146: »Ponieważ Francja miała 800.000 Żydów, wyгнаła ich w XIV wieku, by istnieć. Ponieważ ich wyгнаła, stała się największym narodem Europy. Ponieważ Polska przyjęła tych Żydów,

zniknęła z rzędu narodów, wydana na pastwę konspiracji i anarchii. Ponieważ Francja z kolei przyjęła spowrotem tych Żydów polskich, jest w stanie upadku.«

Co za prorocze słowa! Spełniły się w naszych oczach! Nie, Szanowny Panie, widzieliśmy tragedię Francji i nie dopuścimy, by to samo powtórzyło się w Polsce. Ale nie będziemy Żydów wyganiali, jak to zrobili swego czasu Francuzi i Anglicy. To nie byłoby w naszym stylu. Po prostu zorganizujemy, w porozumieniu z wielkimi demokracjami Zachodu, masową emigrację Żydów z Polski. Będzie to akcja zorganizowana humanitarnie i według najświeższych metod naukowych. Istnieje już dziś zrozumienie dla tej sprawy i u poważnych czynników żydowskich i u części parlamentarzystów brytyjskich. Trzeba tylko akcji konsekwentnej i inteligentnie kierowanej.

Mamy nadzieję, Panie Antoni, że Pan nam w tej akcji dopomoże i że Pan odda swe cenne pióro na usługi wielkiej sprawy emigracji z Polski Pańskich rodaków. Wspólnie pilnujmy, by ten nieuchronny proces odbył się w atmosferze godnej naszych wielkich tradycji, na poziomie, na którym chcemy widzieć przyszłą Polskę i przyszły świat.

Co do Pana, to spodziewam się, że znajdzie Pan bez trudu gdzieś na kuli ziemskiej mniej hazardowne miasto, bez szańców i barbakanu, które Pan będzie mógł opiewać rymami mniej wymęczonymi, acz na równie wysokim poziomie.

Łączę szczerze wyrazy D.

**) Drukowany na lamach tygodnika »Jestem Polakiem« w Londynie, w marcu 1941 r. Za ogłoszenie tego listu gen. Sikorski kazał ukarać mnie dyscyplinarnie oraz zesłać na wyspę Bute.*

Adam Doboszyński

Kto steruje amerykańską polityką?

1. Ostatnio w społeczeństwie naszym, w celu wyjaśnienia wydarzeń, które intensywnie zachodzą w świecie współczesnym, coraz popularniejsze jest powoływanie się na teorię spisku. Jak grzyby po deszczu rosną strony internetowe i czasopisma konspirologów wszystkich maści. Temat ten wylał się na ekrany – przykładem być może niekończący się serial „Z Archiwum X” o agentach Mulderze i Scully oraz znakomity film „Teoria spisku” Richarda Donnera z Melem Gibsonem i Julią Roberts w rolach głównych.

Fabula filmu Donnera jest charakterystyczna: jego główny bohater Jerry Fletcher (Mel Gibson), początkowo sprawiający wrażenie przypadku ciężkiej

schizofrenii, bredzącego o „teorii spisku”, okaże się jedynym, który rozgryzł prawdziwe podłoże wydarzeń politycznych i uratował główną bohaterkę (a razem z nią cały świat) przed rzeczywistymi maniakami i złoczyńcami, ukrywającymi się pod maską zupełnie normalnych ludzi.

W niekończących się groteskowych i pojawiających się na każdym niemal kroku wręcz obłądnych konstrukcjach konspirologów to tu to tam przeziera głęboka i złowieszczą rzeczywistość, do której jednak nie jest tak łatwo się dobrać. Z punktu widzenia politologii w pełni racjonalnej, to gwałtownie rosnące zainteresowanie jest w pełni wytłumaczalne. Prawnik i filozof niemiecki Carl Schmitt mówił o istnieniu w społeczeństwie współczesnym dwóch typów władzy – władza bezpośrednia (*potestas directa*) i władza pośrednia (*potestas indirecta*). Właśnie ta władza pośrednia, oparta na grupach niesformalizowanych, klubach, towarzystwach pozarządowych i fundacjach, oraz strukturach lobbystycznych i zwłaszcza ŚMP (środkach masowego przekazu), staje się przedmiotem szczególnej, czasami nadmiernej uwagi konspirologów. Oczywiście, podstawowe decyzje podejmowane są przez głowy państw, rządy, parlamenty, instancje sądowe. Gdzie są jednak te decyzje przygotowywane? Kto wypracowuje strategię dużych państw na dziesięciolecia lub wręcz stulecia? Skąd się biorą podstawowe elementy tych strategii?

Z reguły, wszystko to jest dość trudno wyjaśnić jednoznacznie i uwaga analityków sama z siebie stopniowo przemieszcza się na kluby nieformalne, grupy wpływu, oraz na sferę służb specjalnych, których działalność jest świadomie okryta mrokiem i tajemnicą. Tajne towarzystwa i służby specjalne w języku angielskim brzmią bardzo podobnie – secret service i secret society. A gdy dodać do tego analizę „władzy czwartej” – tak zwanych „niezależnych” ŚMP- teoretycznie niezależnych od trzech klasycznych instancji władzy w demokracji (władzy ustawodawczej, wykonawczej i sądowniczej) – ale zależnych od innych licznych czynników- w pierwszej kolejności od specyfiki samego zawodu dziennikarza (gdzie zgodnie z Mac Luhanem „media is a message” – „same ŚMP stają się treścią tego, co one nadają”) , to otrzymamy dziedzinę ogromną i nadzwyczaj zagmatwaną, mętną, której mechanizm nie jest przezroczysty, a wpływ na społeczeństwo, politykę, kulturę, historię – ogromny.

2. Idee mają znaczenie

Po napaści Saakaszwilego na Cchinwali konstrukcje konspirologiczne wtargnęły również do rzeczywistości rosyjskiej. W celu wyjaśnienia tego co się stało, zaczęto aplikować najróżniejsze teorie spiskowe. Znamienne jest, że nawet premier Putin dał do zrozumienia, że sądzi, iż „za napaścią na Cchinwali stoi nie po prostu Waszyngton, lecz określona grupa wpływu w establishmencie amerykańskim, zainteresowana przeforsowaniem na prezydenta kandydata

republikanów McCaina”. Wyraźnie Putin miał na uwadze grupę neokonserwatystów, „neokonów”, którzy od lat 80-tych zaczęli przekształcać się w grupę wpływową, a wspólnie z Bushem Juniorem rozpoczęli bezpośrednio określanie polityki USA.

Kim są „neokony”?- To nie jest partia, to nie jest grupa parlamentarna, to nie jest część rządu, to nie jest instancja sądowa. Z punktu widzenia „władzy bezpośredniej” (potestas directa) – oni nie istnieją. Jest to nieformalna grupa myślących jednakowo, reprezentowana przez intelektualistów, uczonych, biznesmenów, dziennikarzy, pojedynczych działaczy politycznych i społecznych. Jest to klub, kółko. Albo, jak ktoś woli- spisek. Jakbyśmy nie nazwali tego zjawiska, mamy do czynienia z „władzą pośrednią” (potestas indirecta), nie posiadającą żadnej jednoznacznej instytucjonalizacji politycznej i państwowej.

Neokony, mówiąc o sobie samych i swoim programie, podkreślają nieustannie „the ideas do matter”- „znaczenie mają idee”. W formule tej ukryte jest nadzwyczaj dużo. „Idea” nie posiada instytucjonalizacji politycznej i prawnej, co więcej- poprzedza ona wszelką politykę. Dlatego próby wciśnięcia sfery idei w ramy legalne i prawne są bezsensowne- są to różne poziomy realności. Jeśli jednak prowadzi się adekwatną, konsekwentną i wytrwałą pracę z ideami, to startując z dowolnej pozycji- najbardziej nawet marginalnej i peryferyjnej- możemy uzyskać rezultat imponujący, podporządkowując logice swojej gigantyczne masywy polityczne i państwowe. Politolog amerykański Joseph Nye w innym nieco kontekście oznaczył to zjawisko jako „soft power”. Nawiasem mówiąc, neokoni swoim przykładem ilustrują to, jak reguła ta działa- w latach 70- tych reprezentowali marną gromadkę trockistów ultramarginesowych, grupujących się wokół dziennikarza Normana Podhoretza i nie mających najmniejszego wpływu w USA. Ale zajmowali się oni ideami i tylko ideami, i to dało rezultaty. W latach 70- tych z powodzeniem wkomponowali się w lewe skrzydło Partii Demokratycznej, zdoławszy zachować swoją tożsamość ideologiczną, a w latach 80-tych ruszyli na Partię Republikańską, z której w końcu wyparli „starych prawicowców” („paleokonserwatystów”), których naczelny teoretyk Patrick Buchanan opłakiwał to wydarzenie, przyrównując neokonów do skwadersów. A w osobie George’a Busha Jr otrzymali olbrzymią władzę nie tylko nad Ameryką, lecz i nad znaczącą częścią całego świata. Wszystkim niedowiarkom udowadniając jak dużo może znaczyć idea.

W ten sposób stopniowo przechodzimy od brutalnych form teorii spiskowych do możliwości badania dziedziny „władzy pośredniej” (potestas indirecta) w sposób bardziej racjonalny. „Tajna społeczność” neokonów podpowiada nam jak to zrobić. Po prostu trzeba zwrócić uwagę na idee. Nie na instytucje, nie na osobowości, nie na zarządzenia i dekrety, nie na instancje i procedury, nie na prawo i nie na technologie, lecz na dawno zapomniane i na śmiech wystawione idee. Zamiast zajmować się (zawsze interesującą a czasami też produktywną,

zawsze jednak przybliżoną) mitologizacją procesów politycznych, czy nie lepiej zainteresować się sferą idei. Nie wróci to nas na ziemię (o ideach Platon mówił, że one albo szybują albo umierają) ale wyposaży w pewny instrument racjonalny w postaci filozofii. W ten sposób od teorii spisku płynnie przechodzimy do rozpatrzenia idei i ideologii.

3. Pochodzenie Idei Amerykańskiej

Aby zrozumieć, co jest osią i tajnym ośrodkiem całej polityki amerykańskiej, jądrem amerykańskiej potestas indirecta, amerykańskiego soft power, sięgnąć trzeba do form wyjściowych amerykańskiej idei narodowej.

Pierwszym, kto wyraźnie sformułował tę amerykańską ideę był dziennikarz John O'Sullivan, aktywista Partii Demokratycznej (po raz pierwszy w tekście z roku 1839 i bardziej szczegółowo w książce „Divine Destiny of America” – „Boskie Przeznaczenie Ameryki”). Określił on ją jako „Manifest Destiny” co przetłumaczyć można jako „przeznaczenie oczywiste” (lub „predestynacja”). Wg O'Sullivana, Stany Zjednoczone posiadają „misję boską”, opartą na takich wartościach jak równość, wolność sumienia, prawa jednostki, która każe im „ufundować na ziemi godność moralną i uratowanie (zbawienie) ludzkości”.

Jako że Meksyk, zdaniem O'Sullivana, nie był państwem podzielającym te wartości, to ziemie Meksyku- Teksas a później Kalifornia – „wg prawa” („zgodnie z boskim przeznaczeniem”) powinny być przyłączone do USA. Również na tej podstawie- Manifest Destiny- proponował O'Sullivan odebranie Anglii stanu Oregon. W tym przypadku Anglia również była uznawana „za państwo niewystarczająco demokratyczne i cywilizowane”. O'Sullivan uważał, że powołanie się na tę instancję- „predestynacji oczywistej” – jest „prawem najwyższym” i „wartością absolutną”. Apele O'Sullivana zostały wysłuchane i USA podbiły ziemie meksykańskie, anektując je zgodnie z „boskim przeznaczeniem”. Odbyło się to naturalnie w wyniku działań wojennych. To samo stało się ze stanem Oregon. W tym czasie praktycznie, w latach 30-tych wieku XIX, prezydent amerykański James Monroe formułuje swoją słynną doktrynę- „doktrynę Monroe”. Brzmi ona dość prosto- „Ameryka dla Amerykanów”. W danym przypadku chodziło o to, że tylko państwa amerykańskie powinny kontrolować strategicznie całą przestrzeń kontynentu amerykańskiego (z Ameryką Południową i Środkową włącznie). Oznaczało to postawienie ultimatywnego żądania wobec mocarstw europejskich (w tym również wobec Rosji, kontrolującej poprzez „Kompanię Rosyjsko-Amerykańską” utworzoną przez Szieliechowa i Baranowa, nie tylko Alaskę, ale również znaczną część właściwych terytoriów Północnoamerykańskich na zachód od Gór Skalistych), aby odeszły z terytorium Ameryki.

O ile jednak „doktryna Monroe” wyrażała bezpośrednio interesy USA, i nie przypadkiem sformułowana została przez oficjalną głowę państwa, piątego prezydenta USA, to teoria „Manifest Destiny” O'Sullivana odnosiła się do

kategorii wartości. Przy czym obie te teorie bardzo dobrze wzajemnie się uzupełniały- jedna na poziomie praktycznym a druga na teoretycznym.

Z tych właśnie dwóch składowych ukształtowała się pierwsza wersja Idei Amerykańskiej, nigdzie nie umocowanej, wyjaśniającej jednak całą logikę rozwoju historii amerykańskiej na przestrzeni wieku XIX i początku XX. Sens tej idei polega na tym, że: „USA to kraj wybrany przez Boga, nośnik najwyższych ideałów całej ludzkości, któremu Opatrzność poruczyła rozszerzanie się i przejmowanie kontroli nad krajami pozostałymi (dla ich większej korzyści)”.

W idei tej w dziwaczny sposób są skojarzone:

- fundamentalizm protestancki,
- patos liberalny europejskiego świeckiego Oświecenia,
- wyobrażenia praktyczne burzliwie rozwijającego się społeczeństwa przemysłowego w kwestii poszukiwań nowych ziem i kolonii,
- masoński ideał „wolności, równości i braterstwa”,
- a nawet aspekt rasistowski, pośrednio obarczający anglo-sasów szczególną misją.

Z taką oto Ideą Amerykańską, podzielaną przez większość elity amerykańskiej, nie mającą jednak utrwalonej ściśle formy prawnej lub politycznej, wstąpiły USA w wiek XX.

Aleksander Dugin

Tytuł oryginału: „Idea – najgroźniejszy oręż imperium”

źródło: tygodnik „Profil” (www.profile.ru) nr 39/594, 20.10.2008 r.

tłum. Bogdan H. Tymiński

CDN

Nr 3-4 (16-23.01.2011)

<http://sol.myslpolska.pl/2011/01/kto-steruje-amerykanska-polityka/>

<http://www.forum-eurazja.yoyo.pl/viewtopic.php?f=11&t=69>

Operacja „Lew Morski”. Wojna o Wielką Brytanię 1940

Geneza niemieckiej agresji na Wielką Brytanię

Po pokonaniu Francji w 1940 roku, kolejnym krokiem Niemiec do uzyskania dominacji w Europie, było zajęcie Wielkiej Brytanii. Zjednoczone Królestwo było znaczącym niemieckim oponentem podczas I Wojny Światowej. Jego pokonanie, podobnie jak w przypadku Francji, miało dla Niemców znaczenie symboliczne – odwet za klęskę i upokorzenie po I Wojnie Światowej. Wielka Brytania była także potężnym mocarstwem kolonialnym. Imperium Brytyjskie władało posiadłościami niemal na całym świecie. Jego potencjalny upadek pozwoliłby państwom "Osi" zająć posiadane przez nich terytoria. To utrudniłoby im drogę do dominacji w skali światowej. Ziemia, surowce, ludzie oraz produkty przynoszące korzyści Imperium Brytyjskiemu, byłyby wtedy w posiadaniu Niemiec, Włoch i Japonii. Należy zaznaczyć, że Imperium Brytyjskie przejawiało zapędy totalitarne jak ZSRR i III Rzesza. Obozy koncentracyjne (dla ludności tubylczej) istniały tam na wiele lat przed pierwszymi podobnymi placówkami wybudowanymi przez komunistów i nazistów.

Sytuacja w przededniu wojny

Pomimo uznania przez Niemcy Wielkiej Brytanii za wroga, Adolf Hitler do końca próbował przeciągnąć ją na swoją stronę. Obiecywał Brytyjczykom "wolną rękę" na morzach w zamian za brak ich interwencji w sprawy kontynentu europejskiego. Częściowo kalkulacje takie mogły być dobrym posunięciem. W ten sposób dominująca flota morska świata nie przeszkadzałaby III Rzeszy w prowadzeniu działań wojennych. Jednak Wielka Brytania odrzuciła ofertę Führera. Wiązało się to w pewnej części z powiązaniem ideologicznymi Wielkiej Brytanii z pozostałymi krajami nieprzyjawnymi Rzeszy Niemieckiej. Ponadto dominacja Niemiec w świecie stwarzała zagrożenie dla interesów istniejących imperiów kolonialnych. Imperium Brytyjskie miało wiele poważnych atutów przemawiających na ich korzyść w starciu z Niemcami. Czołowa flota świata, ogromne zasoby surowców, pokaźny potencjał ludzki oraz lepsze samoloty dawały Brytyjczykom możliwość swobodnej konkurencji z III Rzeszą. Ponadto dawało im przewagę rozpracowanie przez polskich kryptologów mechanizmu działania niemieckiej maszyny szyfrującej „Enigma”. Dzięki temu rozkazy Głównodowodzącego Luftwaffe Reichsmarschalla* Hermanna Göringa nadawane za jej pośrednictwem były rozszyfrowywane i przekazywane naczelnemu dowództwu Armii Brytyjskiej. Niemcy z kolei mogli

liczyć na większy stosunek sił w powietrzu wynoszący 100:37 na ich korzyść (dokładnie 2800 niemieckich samolotów w stosunku do brytyjskich 756). Niemieckie maszyny były jednak słabsze technologicznie od brytyjskich. Bombowiec nurkujący Junkers Ju-87 nie stawiał czoła wymaganiom pola walki, zaś Messerschmitt Bf-109 ustępował brytyjskim myśliwcom typu Spitfire czy Hurricane. Potężny niemiecki dwusilnikowy myśliwiec Messerschmitt Bf-110 okazał się za mało zwrotny. Wiara w jego możliwości pośród niemieckich elit okazała się daremna.

Początek Wojny

Niemiecka inwazja na Wielką Brytanię przeszła do historii jako „Bitwa o Anglię”. Jednak skala działań wojennych i sposób prowadzenia tej „bitwy” był charakterystyczny dla typowej kampanii. Jej główną areną walk stało się powietrze, a na drugim miejscu morze (podczas tej „kampanii” rządziej angażowane były siły lądowe, i to głównie po stronie alianckiej). Inwazja na Wielką Brytanię zyskała kryptonim „Lew Morski”. Zakładała zneutralizowanie brytyjskiego panowania na morzu i w powietrzu na własnym obszarze. Jeszcze przed oficjalnym rozpoczęciem całej operacji Adolf Hitler zlecił wstępne ataki na brytyjskie patrole i konwoje. Było to fatalne posunięcie. Hermann Göring nie miał wtedy jeszcze żadnych konkretnych planów prowadzenia wojny. Działania zaczepne przygotowano już 4 lipca 1940 roku, na ponad miesiąc przed oficjalnym rozpoczęciem operacji. Atakowano linie kolejowe i patrole brytyjskie. Pod koniec tych przedwczesnych i niezaplanowanych akcji Niemcy stracili 93 samoloty, a Brytyjczycy tylko 48.

Przebieg wojny

Bitwa o Anglię rozpoczęła się oficjalnie 13 sierpnia 1940 roku. 1500 niemieckich bombowców rozpoczęło bombardowanie kluczowych strategicznie obiektów brytyjskich: lotnisk, zakładów zbrojeniowych i punktów obrony przeciwlotniczej. Atakowano nieustannie główne miasta brytyjskie takie jak Londyn, Liverpool czy Birmingham w celu zastraszenia i złamania całego społeczeństwa. Ataki bombowe w pierwszej fazie tej *de facto* kampanii, były całkowicie pozbawione eskorty myśliwskiej, stąd ponosiły ogromne straty. 11 września Niemcom udało się zbombardować Pałac Buckingham, jednak według oficjalnego brytyjskiego raportu nie ucierpiał nikt z rodziny królewskiej. Opór brytyjskiej obrony przeciwlotniczej wzmacniał się z każdym dniem. W działaniach obronnych żołnierzy wspierali cywile, zarówno mężczyźni jak i kobiety. Znaczna ilość strąceń niemieckich maszyn sprawiła, że 17 września odwołano operację „Lew Morski”. Naloty bombowe, w celu ciągłego nękania Brytyjczyków, trwały jednak nadal. Wyraźnymi błędami w dowodzeniu wyróżnił się Adolf Hitler, będący głównym "twórcą" niemieckiej klęski w wojnie z Anglią. Niemieckie ataki na określone brytyjskie punkty strategiczne

(głównie lotniska), pomimo wstępnych strat, wznowione przyczyniłyby się do ich zajęcia. Tymczasem Hitler nieustannie decydował się na atakowanie coraz to nowych, i nie nadszarpniętych punktów obrony. W ten sposób zamiast zająć Brytyjczykom jakąkolwiek część ich obszaru, nieustannie wyniszczał coraz bardziej już nadszarpnięte siły Luftwaffe. Była to seria „niewytłumaczalnych” decyzji Hitlera, podobnych do bezsensownego wstrzymania ataku na Dunkierkę podczas Kampanii Francuskiej. To kolejny powód do przypuszczeń, iż Adolf Hitler mógł być angielskim agentem. W trakcie samej powietrznej obrony Wielkiej Brytanii sławą okryli się Polscy piloci, walczący początkowo w eskadrach brytyjskich. Dzięki sukcesom zdecydowano się na utworzenie samodzielnych polskich dywizjonów, z których największą sławę zyskał Dywizjon Myśliwski 303, który pozbawił Luftwaffe ponad 200 maszyn. Poza Polakami sukcesy w obronie Wielkiej Brytanii odnosili piloci z Czech, a także z Kanady. W trakcie walk część pilotów wyróżniała się szczególną skutecznością w eliminowaniu wrogich samolotów. Zyskiwali dzięki temu przydomek „Asów Myśliwskich” (podczas I Wojny Światowej takim „Asem” był głównodowodzący Luftwaffe Hermann Göring). Niemieckimi „Asami” byli między innymi Adolf Galland i Werner Mölders, natomiast po stronie polskiej wyróżniali się Stanisław Skalski, Jan Zumbach, Mieczysław Popek czy Zdzisław Krasnodębski (założyciel i pierwszy dowódca Dywizjonu 303).

Koniec wojny

Coraz skuteczniejsza brytyjska obrona przeciwlotnicza odpierała niemieckie natarcia z powietrza. To zmusiło III Rzeszę do całkowitego zaniechania planów zajęcia Wielkiej Brytanii. Jednak ataki bombowe oraz bombowe (w dalszej fazie wojny) na Wielką Brytanię trwały dalej. Niemcy próbowali również ataków na brytyjskie połączenia morskie. Działania te miały doprowadzić do blokady Wysp, która miała na celu podciąć podstawy egzystencji Brytyjczyków. Konwoje z dostawami broni, surowców, żywności, oraz produktów pochodzących z kolonii, były nieustannie niszczone. W odpowiedzi na to Brytyjczycy organizowali eskorty. Polem tej walki było już nie tylko powietrze, ale także i morze. Działania tego typu trwały niemalże do końca niemieckiej dominacji w Europie Zachodniej. W ten sposób „Bitwa o Anglię” przeobraziła się w „Bitwę o Atlantyk”. Oficjalnym końcem samej „Bitwy o Anglię” był dzień 31 października 1940 roku. Niemieckie lotnictwo straciło według różnych źródeł 40-52% swoich sił. Straty Luftwaffe w stosunku do RAF wyniosły 3:1, zaś w stosunku do Polskich Dywizjonów 302 i 303 wyniosły 9:1. Według posiadanych przeze mnie źródeł Niemcy stracili ponad 2000 ludzi, z czego 1000 to piloci. Brytyjczycy stracili ponad 540 ludzi, zaś straty polskie wyniosły 29 pilotów. Była to militarna porażka Niemiec, której sprawcą w dużej mierze był Adolf Hitler. Na duże straty niemieckie przyczynili

się nie tylko alianccy piloci, ale także brytyjska obrona przeciwlotnicza wsparta nowo wprowadzonymi urządzeniami radarowymi.

Kalendarium działań w trakcie walk o Wielką Brytanię

- **4 lipca 1940.** Zaplanowanie wstępnych działań wojennych przeciw Wielkiej Brytanii.
- **10 lipca 1940.** Pierwsze datowane ataki Niemców na konwoje oraz partole brytyjskie. Pod koniec wstępnych działań Niemcy tracą 93 maszyny, a Brytyjczycy 48.
- **13 lipca 1940.** Wydanie dyrektywy o wojnie powietrznej, pomimo że Hermann Göring nie miał w tym czasie żadnych konkretnych planów działania.
- **13 sierpnia 1940.** Oficjalny początek „Bitwy o Anglię”. Ataki na konwoje i miasta z fabrykami. Eskadra niemiecka znad Norwegii ponosi ogromne straty z powodu braku eskorty myśliwskiej.
- **18 sierpnia 1940.** Ataki niemieckie na lotniska brytyjskie. Zniszczono lotnisko Kenley oraz uszkodzono lotnisko Biggin Hill. Straty Luftwaffe wyniosły 71 maszyn, zaś RAF 27.
- **25 sierpnia 1940.** Ataki na Warmwell.
- **28 sierpnia 1940.** Zmasowane uderzenia na Liverpool.
- **31 sierpnia 1940.** Bombardowania lotnisk: Biggin Hill, Debden oraz Hornchurch. Straty Luftwaffe to 41 maszyn, a RAF 39. Ponadto RAF stracił kilka jednostek na ziemi.
- **4-9 września 1940.** Nalot na zakład bombowców w Weybridge i Brooklands. Bombardowane są miasta: Liverpool, Bristol, Londyn. Straty RAF to 120 maszyn, a Luftwaffe 148.
- **7 września 1940.** Pierwsze użycie radarów przez Brytyjczyków. Rozkaz Adolfa Hitlera i Hermanna Göringa o bombardowaniu Londynu. Przechwytywanie pozycji samolotów przez radary zmusza Luftwaffe do "ślepego" bombardowania punktów docelowych.

- **11 września 1940.** Niemcy zbombardowali Pałac Buckingham oraz zakłady produkcji myśliwców Spitfire w Southampton. Straty Luftwaffe to 29 maszyn, a RAF 21.
- **15 września 1940.** Zacięte walki nad Londynem. Brytyjczykom dokuczać zaczyna brak pilotów. Straty Luftwaffe wyniosły tego dnia aż 60 maszyn, zaś RAF tylko 27.
- **17 września 1940.** Ataki RAF. Odwołanie operacji „Lew Morski”.
- **18 września 1940.** Ataki na Londyn. Straty Luftwaffe to 19 maszyn, zaś RAF 12.
- **19 września 1940.** Ataki RAF na flotę i stacje niemieckie.
- **25-30 września 1940.** Naloty na fabryki w Bristol, Southampton, Yeovil. Straty RAF to 83 maszyny, a Luftwaffe 143. Rozpoczyna się okres walk myśliwskich. W październiku naloty były codziennością.
- **31 października 1940.** Oficjalny koniec „Bitwy o Anglię”. Powstrzymanie niemieckiej inwazji na Wielką Brytanię.

*Tytuł **Reichsmarschall** (pol. **Marszałek Rzeszy**) był nadawany jako najwyższy stopień wojskowy w armii Świętego Cesarstwa Rzymskiego, dla najwybitniejszego ze strategów, przewyższającego swoimi umiejętnościami zarządzania i dowodzenia wojskiem innych **Feldmarszałków** (pol. **Marszałków Polnych**). Władze III Rzeszy, lubujące się w bezpodstawnym nadawaniu swoim liderom tytułów zarezerwowanych dla Rycerzy i Paladynów, nieomieszkały w awansowaniu najwyższego w hierarchii partyjnej NSDAP marszałka. Hermann Göring był przeciętnym dowódcą, i jego awans był symbolicznym uznaniem jego osoby przez pryzmat dokonań dla partii, a nie wyrazem nadzwyczajnego talentu dowódczego.

Piotr Marek

Przemówienie przeciwko ustawie aborcyjnej z 1956 r.

Wysoka Izbo! Wniesiony przez Radę Państwa i Rząd projekt ustawy o warunkach dopuszczalności przerywania ciąży obudził zrozumiałe zainteresowanie, ale i niepokój w szerokich rzeszach społeczeństwa polskiego. Wyrazem tego niepokoju były liczne listy, jakie w tej sprawie otrzymaliśmy w ostatnich czasach — także ja i niektórzy moi koledzy.

Pojawienie się projektu poprzedziła żywa, ciągnąca się przez parę miesięcy dyskusja, zarówno w prasie jak i na zebraniach. Wypowiedzi, jakie w ciągu tej dyskusji padały, dalekie były od jednomyślności, zaś ostre sprzeczności, jakie się w dyskusji uwydatniły, powinny były przestrzec twórców projektu ustawy przed formułowaniem wniosków zbyt daleko idących, które są jedynie wyrazem opinii najbardziej skrajnej. Stało się inaczej.

Według art. 1 projektu ustawy dopuszcza się przerywanie ciąży w wypadkach: po pierwsze — gdy chodzi o zdrowie kobiety ciężarnej, po drugie — w wypadku trudnych warunków życiowych kobiety ciężarnej. Oba względy, zarówno zdrowotny jak i ekonomiczno-społeczny, budzą liczne wątpliwości i sprzeczności.

Pozwolę sobie zacząć od względu zdrowotnego. W uzasadnieniu projektu znajdujemy zapewnienie, że „zagadnienie skutecznej walki z wypadkami przerywania ciąży w warunkach szkodliwych dla zdrowia i życia kobiet ciężarnych było przedmiotem konsultacji z wybitnymi przedstawicielami nauk medycznych, a wysunięte przez nich postulaty znajdują wyraz w projekcie ustawy”.

Szkoda doprawdy, że nie mogliśmy się tu dowiedzieć, kim byli wymienieni w uzasadnieniu przedstawiciele nauk medycznych, gdyż znane powszechnie wypowiedzi przedstawicieli ginekologii polskiej stawiają sprawę zgola inaczej.

Jeszcze przed wojną w swym przemówieniu na Zjeździe Ginekologów Polskich w 1927 r. kierownik Kliniki Położniczej Uniwersytetu Warszawskiego, jeden z najpoważniejszych przedstawicieli medycyny światowej, odznaczony niedawno Krzyżem Komandorskim Orderu Polonia Restituta, prof. Adam Czyżewicz stwierdził z całą stanowczością, że zabieg przerywania ciąży jest zawsze

zabiegiem bardzo groźnym i zawsze szkodliwym dla zdrowia ko-biety. Mówił wtedy — cytuję według stenogramu jego przemówienia: „Słyszy się wielokrotnie, że wszystko byłoby dobrze, gdyby udało się wyplenić partactwo i sprawę poronień oddać wyłącznie lekarzom. Mimochodem tylko zaznaczam tu fakt, iż jest to rzeczą niewykonalną, bo partactwo zawsze będzie miało więcej powodzenia niż medycyna legalna. Ale nawet choćby było inaczej, wykazałem powyżej, że niebezpieczeństwo poronień zawsze będzie duże, nawet w najbardziej wyszkolonych rękach i w najlepszych warunkach. Pomimo rozwoju medycyny, a przede wszystkim techniki operacyjnej, nie znamy sposobu, który by pozwolił usunąć niebezpieczeństwo poronień i gwarantował wynik choćby bezpośredni. Pomimo ostrożności, doprowadzonej do szczytu, nie jesteśmy w stanie wyłączyć ani zakaźnych spraw ogólnych czy miejscowych, ani przebiccia macicy, ani zaburzeń układu nerwowego i układu gruczołów dokrewnych, ani późniejszych następstw na razie ukrytych...”

W tym samym prawie czasie obradujący w Kijowie kongres ginekologów radzieckich ustalił podobne sformułowania.

Prof. Czyżewicz nie zmienił zdania i później. W 1950 r. opublikował on pracę pt. „Częstość poronień”, w której wykazał wynikami prowadzonej przez siebie kliniki zarówno szkodliwość przerywania ciąży jak i fakt, że realna potrzeba stosowania tego zabiegu zdarza się z punktu widzenia medycyny niesłychanie rzadko, a i wówczas nie wiadomo, czy skutki, jakie zabieg za sobą pociąga, nie okażą się szkodliwsze niż niebezpieczeństwo rzekomo grożące kobiecie ciężarnej.

Dwa lata temu Komisja Położniczo-Ginekologiczna Rady Naukowej przy Ministrze Zdrowia otrzymała wezwanie, by opracowała szczegółowe wskazania uprawniające do przerywania ciąży, wykonała tę pracę, lecz — rzecz dziwna — elaborat Komisji utonął bez echa w aktach Ministerstwa Zdrowia. A byłoby rzeczą ciekawą wykazać, jak bardzo sprzeczny on był w swoich wnioskach ze zgłoszonym projektem ustawy.

Także opracowane dla Ministerstwa Zdrowia referaty profesorów Soszki i Lesińskiego miały zupełnie inną konkluzję niż projekt ustawy. Przeciwno przerywaniu ciąży wypowiedział się w dyskusji radiowej jeden z najpoważniejszych ginekologów warszawskich prof. Tadeusz Bulski.

Wynikałoby z tego wszystkiego, że poważny świat medyczny nie jest wcale zwolennikiem zabiegu przerywania ciąży.

Wiemy o tym, że medycyna współczesna przeżywa wielką rewolucję rozwojową. Jej zdobyczą na terenie polskim jest np. przedłużenie wieku

człowieka z 49,8 lat w latach 1931-1932 do 61,4 lat w 1952-1953. Jej zdobycami jest poważne zmniejszenie śmiertelności niemowląt i opanowanie w wielkim stopniu gruźlicy. W świetle nowych odkryć i wynalazków medycznych niebezpieczeństwo ciąży dla kobiety zmalała tak bardzo, że mógł powiedzieć niedawno jeden z najpoważniejszych ginekologów angielskich prof. J. L. Cameron, iż „w oparciu o obecną praktykę lekarską można powiedzieć, że nigdy nie musi się odbierać życia dziecku dla ocalenia matki”. Gdy jednak niebezpieczeństwo ciąży zostało prawie całkowicie usunięte, niebezpieczeństwo zabiegu przerywania ciąży pozostaje nadal bardzo dużym, a medycyna wciąż odkrywa dalsze jego groźne skutki. Rosnąca, a nie malejąca, śmiertelność kobiet na raka obejmuje olbrzymi procent przypadków spowodowanych sztucznymi poronieniami, nawet dokonanyymi przez lekarzy.

W uzasadnieniu do projektu ustawy mówi się o 300 tys. dokonywanych w Polsce niedozwolonych zabiegów. Prasa podnosiła tę cyfrę prawie dwukrotnie. Prof. Czyżewicz postawił tezę, że liczba przerwanych ciąży osiąga 30% wszystkich porodów. Zatrzymajmy się jednak na cyfrze 300 tys. Jest ona ogromna i przerażająca. Lecz bardziej przerażającą rzeczą jest fakt, że te zbrodnicze zabiegi dokonywane są wbrew istniejącym przepisom prawnym. Należałoby po prostu wnioskować, że wszystkie te przepisy nie obowiązują w praktyce, że się na ich istnienie zamyka oczy.

Odwołując się do tej ogromnej cyfry i do tego przerażającego faktu: czy projekt ustawy ma na oku zmniejszenie liczby dokonywanych w Polsce przerywań ciąży? Wydaje mi się, że nie. Zamiast 300 tys. dokonywanych bezprawnie zbrodniczych zabiegów projekt ustawy skłonny jest widzieć 300 tys. zabiegów dokonywanych legalnie, higienicznie i klinicznie przez lekarzy. Lecz czy tylko 300 tysięcy? Zacytuję tu znowu prof. Czyżewicza: „Nie dlatego musimy zwalczać partactwo, jakoby ono było groźniejsze ze względu na zakażenie połogowe, ale dlatego aby ograniczyć jego wskazania... Jeżeli tego nie uczynimy, zmieni się wykonawca, lecz rzecz istotna zostanie ta sama i te same wywoła skutki.”

To samo zupełnie stwierdził kongres ginekologów radzieckich w Kijowie. Atakując dekret z 1920 r. zezwalający na przerywanie ciąży ginekolodzy radzieccy oświadczyli (cytuję według sprawozdania z kongresu): „Daliśmy pełną swobodę woli kobiety, ale nie zdołaliśmy i nie zdołamy w najbliższej przyszłości zmniejszyć liczby poronień, gdyż trudno jest wyplenić zło, które się stało przyzwyczajeniem narodu. Poronienia pozostają zatem tą samą socjalną klęską, co i przedtem. Nie ma wątpliwości, że przez takie ograniczenie płodności klasa robotnicza kopie sobie sama grób, podobnie jak to czyni obecnie burżuazja... Po dekrete z 1920 r. zmniejszyła się ilość tajnych poronień na

korzyść legalnych, lecz równocześnie szalonymi skokami wzrosła liczba poronień w ogóle...”

Z tych oświadczeń — a mógłbym ich cytować znacznie więcej — wynika, że wprowadzenie legalności zabiegu przerywania ciąży ma wszelkie szanse powiększenia liczby przypadków stosowania tego zabiegu. Projekt więc ustawy nie tylko nie stawia tamy wielkiemu niebezpieczeństwu, jakie stosowanie zabiegu grozi -zdrowiu kobiety, ale sankcjonuje stan istniejący, stwarza klimat żalostnej kapitulacji wobec szerzącego się zła.

I dziwić się należy, dlaczego na zebranie komisji sejmowej omawiającej projekt ustawy został wezwany jedynie rzeczoznawca od spraw karnych prof. Jerzy Sawicki, a nie wezwano przedstawicieli medycyny, by się wypowiedzieli, co myślą o projekcie.

Ale nie tylko sprawa zdrowia kobiety rodzącej ma być furtką dla tych wszystkich, którzy pragną korzystać z prawa przerywania ciąży. Projekt ustawy wnosi dodatkową jeszcze możliwość, wprowadzając zezwolenie na ten zabieg w wypadku „trudnych warunków życiowych matki”.

Chciałbym zapytać, co projektodawcy rozumieli pod terminem „trudne warunki życiowe”? Jest rzeczą pewną, że wszyscy w Polsce przeżywają okres trudności spowodowanych skutkami wojny i zniszczenia oraz wielkimi zadaniami budowy, jakie nasze pokolenie wzięło na swoje barki. Byłoby co najmniej naiwnością tłumaczyć komuś, że ludzie w Polsce żyją w warunkach sielanki. I te trudności stać się mogą bardzo uciążliwe dla kobiety, która została opuszczona przez mężczyznę — ojca mającego się narodzić dziecka.

Ale niech mi wolno będzie powiedzieć, że znowu nie mogę się zgodzić z żałością kapitulującym tonem projektu ustawy. W ciągu 11 lat powojennych powstała w Polsce sieć instytucji socjalnych, umożliwiających opiekę nad matką i dzieckiem. Byłoby jakimś aktem niewiary w postęp społeczny i w skuteczność działania tych instytucji, z których przecież jesteśmy dumni, twierdzić, że w Polsce Ludowej przyszła matka znaleźć się może w sytuacji, której jedynym rozwiązaniem jest zabicie nienarodzonego jeszcze dziecka.

Usprawiedliwienie przerywania ciąży trudnymi warunkami w bytowaniu kobiety byłoby praktycznym usprawiedliwieniem przerywania ciąży we wszystkich (nieomal wypadkach, uwłascza gdyby osobą wyrokującą miał być lekarz. Bo i jakie kwalifikacje posiada lekarz, by decydować o stanie materialnym kobiety brzemiennej? Jakie posiada środki, by przedstawiony sobie stan sprawdzić? Za każdym razem musiałby się oprzeć jedynie na oświadczeniu osoby zainteresowanej. Jeżeli projekt ustawy, jak chce tego uzasadnienie,

zrodził się z faktu, iż istniejące przepisy prawne są bez przerwy obchodzone i łamane, to jest rzeczą niewątpliwą, że wprowadzenie tego rodzaju przepisu stałoby się zachętą i okazją do jeszcze liczniejszych przekroczeń prawa.

Oświadczam, że głosować będę przeciwko projektowi. Mój sprzeciw opiera się na trzech aspektach, na które pragnę zwrócić uwagę Wysokiej Izbie.

Po pierwsze — przemawiając tutaj jako poseł na Sejm Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej przemawiam także jako katolik, a tym samym jako przedstawiciel opinii ludzi wierzących. Z naszego katolickiego stanowiska, zgodnego z nauką kościoła rzymskokatolickiego, przerywanie ciąży jest „zwyczajnym zabójstwem istoty ludzkiej”. Encyklika Castii Conubii mówi: „Życie dziecka jest tak samo święte jak życie matki. Nie ma żadnego tzw. prawa „bezwzględnej konieczności”, która by mogła usprawiedliwić uśmiercenie niewinnego dziecka.”

Ustawa, która by ułatwiała i legalizowała zabieg przerywania ciąży, byłaby ustawą stwarzającą konflikt w sumieniu wierzących obywateli kraju. Wiem: usłyszę tu, że nikt nie jest zmuszany do korzystania z uprawnień, jakie daje ustawa. Ale w naszym społeczeństwie wierzący i niewierzący nie tworzą oddzielnych klanów czy rezerwatów. Żyją obok siebie, często w bliskich stosunkach rodzinnych i wprowadzenie prawa zezwalającego na przerywanie ciąży umożliwiłoby stosowanie wszelkiego rodzaju przymusu moralnego i nacisku, zarówno na kobietą brzemienną jak i na lekarza. Cóż z tego, że istnieje groźnie brzmiący art. 3 projektu ustawy, skoro o wiele groźniejsze, dziś obowiązujące przepisy nie są respektowane. „Dotychczasowe ustawy są bezsilne” — powiedziała tutaj koleżanka referująca projekt. Skąd pewność, że ten przepis będzie miał obecnie siłę?

W społeczeństwie polskim, którego olbrzymią część stanowią ludzie wierzący, pracujący i pragnący pracować razem z niewierzącymi we Froncie Narodowym, nie powinno być miejsca na ustawę, stwarzającą rozbieżność między sumieniem człowieka, a ustawodawstwem państwowym. Tego rodzaju sprzeczności zamiast jednoczyć naród we wspólnych zadaniach i celach prowadziłyby do marnotrawstwa sił i niepotrzebnych rozdźwięków. Jako katolik nie mogę głosować inaczej jak tylko przeciwko złożonemu projektowi.

Po wtóre — medycyna stwierdza, że zabieg przerywania ciąży powoduje zmniejszanie się płodności kobiety, wpływa więc pośrednio i bezpośrednio na zmniejszenie się liczby urodzeń. Katolicyzm był zawsze przeciwnikiem każdej doktryny próbującej przedstawić ziemię jako zbyt małą i zbyt ubogą dla wykarmienia swych mieszkańców, (zwalczał każdą doktrynę wzywającą do sztucznego ograniczenia potomstwa. Dlatego też jesteśmy przeciwnikami

neomaltuzjanizmu, tej doktryny, która służy wygodzie wzbogaconego społeczeństwa burżuazyjnego. Neomaltuzjanizm ma zresztą swój inny jeszcze aspekt: jest doktryną, którą narody stare, bogate, zubożnięte na krzywdę ludzką obdarzają narody młode, prężne, domagające się praw dla siebie, wierzące w przyszłość, i chętnie wobec nich hasła tej doktryny propagują. Nawiasem mówiąc, chcę w tym miejscu zapewnić kol. Osmańczyka, że słowo „propaganda” nie jest naprawdę wynalazkiem katolickim. Pochodzi ono ze starego Rzymu. „Propagare” w pierwotnym znaczeniu to po prostu sadzenie winnej latorośli, a więc zakładanie czegoś, co ma bardzo długo trwać. Sens tego słowa zawiera się nie w tym, że komuś coś głosimy, ale w tym, jak głosimy — na długo, czy na krótko. A że dobra publicystyka winna być długofalowa, radzę więc kol. Osmańczykowi, żeby nie pozbywał się tak lekko tego rzekomo katolickiego słowa. (Wesołość.)

Ale mam nadzieję, że także twórcy projek-tu nie są zwolennikami neomaltuzjanizmu. Na ich użytek pozwolę sobie tu przypomnieć kilka wypowiedzi przeciwko neomaltuzjanizmowi, jakie padały z ust przedstawicieli narodu radzieckiego.

Lenin jeszcze w 1913 r. pisał, że uświadomieni robotnicy, to „bezwzględni wrogowie neomaltuzjanizmu, tego kierunku przeznaczonego dla mieszczańskiej partii zatwardziałej w egoizmie i samolubnej”.

„Neomaltuzjanizm — pisał niedawno, bo dwa lata temu „Komunikat” — jest najgroźniejszym orężem ideologicznym”.

„Z ludobójczą ideologią maltuzjanizmu bezkompromisowo i konsekwentnie walczy prasa Związku Radzieckiego” — pisze Popow, autor książki „Neomaltuzjanizm – ideologia imperializmu”, wydanej po polsku zaledwie rok temu.

My, Polacy, jesteśmy narodem, który nie lęka się przyszłości i który wierzy w przyszłość. Jesteśmy narodem młodym, 40% naszego narodu to młodzież poniżej lat 20. Posiadamy wiele bogactw i dość sił, by stwarzać dla naszych przyszłych pokoleń coraz lepszą przyszłość.

Nie wolno nam bać się przyrostu naturalnego. Krakanie rozmaitych wron neomaltuzjanizmu, nawet gdy się wystroiły w czerwone piórka, nie powinno zaprzęcać naszej uwagi. (Poruszenie.) Słowa Bolesława Bieruta: „Pragniemy dzieci i cieszymy się z każdego dziecka” pozostały żywe w naszej pamięci.

Posiadamy dość duży przyrost naturalny, większy niż przyrost naturalny w krajach Europy zachodniej. Wyniósł on w 1954 r. — 18,7% wobec 6,8% we

Francji, 4,4% w Belgii, 3,9% w Anglii. Przybywa nam rocznie około 800 tysięcy dzieci. Naród powiększa się rocznie o pół miliona ludzi.

Ale choć rzecz wygląda dobrze, nie wolno nam zapominać, że statystyka ludnościowa ulega szybkim zmianom i raz – wszedłszy na drogę strat, te straty pomnaża z roku na rok. Od kilku lat wzrasta się w Europie proces spadku przyrostu naturalnego. Choć jeszcze chwiejny, daje się on zaobserwować także i u nas.

W 1949 r. przyrost wynosił: 17,8%, w 1953 r. — 19,5%, w 1954 r. — 18,7%.

Nie zapominajmy także, że cyfra przyrostu naturalnego osiągnięta została dzięki postępowi medycyny i spadkowi liczby zgonów. Dlatego też ważniejsza niż cyfra przyrostu jest, cyfra urodzeń. Wynosiła ona: w 1949 r. — 29,4%, w 1953 r. — 29,7%, w 1954 r. — 29,1%.

Poczynając od 1951 r. liczba urodzeń lekko, lecz stale maleje. Cyfra urodzeń w 1954 r. wynosiła tylko tyle, ile wynosił współczynnik urodzeń w Polsce w 1932 r., a więc w okresie drażącego kraj kryzysu. W sześć lat później, w przeddzień wybuchu wojny, liczba ta wynosiła już tylko 24,6%, a tzw. współczynnik reprodukcji netto wynosił tylko 1,1 %, co równało się niemal wchodzeniu w stan stagnacji.

Nie ma miejsca na pesymizm, ale nie ma także miejsca na tani optymizm. Trzeba nam zapomnieć o mitach budowanych doprawdy nie wiadomo przez kogo, o mitach „przeludnienia”, „nadmiaru dzieci”, „dziecinnych szaleństwach”. Sytuacja jest dobra, ale jedno niewłaściwe posunięcie, jak choćby uchwalenie zgłoszonego projektu, może ją radykalnie zmienić.

Wydaje mi się czymś dziwnym, że u nas w kraju, który tyle strat poniósł, możemy tak lekkomyślnie narażać nasz przyrost naturalny, gdy w o tyle potężniejszym liczebnie i gospodarczo Związku Radzieckim zaledwie przed kilkoma miesiącami słyszeliśmy przemówienie Chruszczowa do młodzieży, który mówił:

„Kraj nasz będzie tym mocniejszy, im więcej będziemy mieli ludzi. Ideolodzy burżuazji wymyślili wiele ludożerczych teorii, w tym również teorię przeludnienia. Zastanawiają się oni nad tym, jak zmniejszyć liczbę urodzeń i ograniczyć przyrost ludności. U nas, towarzysze, sprawa przedstawia się inaczej. Gdyby do 200 milionów (ludność ZSRR) dodać jeszcze 100 milionów, i wówczas byłoby mało”.

I jeżeli nawet w ZSRR istnieje dekret z dnia 23 listopada 1955 r., to równocześnie istnieje tam tyle ustaw popierających, pośrednio lub bezpośrednio, wielodzietność, taki aparat ochrony macierzyństwa, jakiego myśmy jeszcze nie rozbudowali, taka atmosfera życzliwości dla matek wielodzietnych, że ustawa ma zupełnie inny charakter i należy się spodziewać, że nie wywoła tylu złych skutków, jakie wywołać by musiała nasza ustawa, gdyby została uchwalona.

A wreszcie trzeci aspekt. Od pewnego czasu opinia publiczna w Polsce zaniepokoiła się poważnie wzrostem demoralizacji wśród młodzieży, zjawiskiem tzw. chuligaństwa. Dyskusje, jakie się na ten temat toczyły, zwróciły uwagę, — nareszcie — na zapoznane poprzednio znaczenie wychowawcze rodziny. Uświadomiliśmy sobie znowu, że pierwszym wychowawcą młodzieży jest rodzina, że od jej poziomu moralnego, od jej trwałości zależy poziom moralny dzieci. Wiele artykułów w prasie biło na alarm, zwracając uwagę na rosnącą liczbę rozwodów.

W swym „Wychowaniu w rodzinie” pisał pedagog radziecki Makarenko:

„Listopadowa rewolucja socjalistyczna położyła kres politycznemu, prawnemu i ekonomicznemu upośledzeniu kobiety, uwolniła ją od wielu rodzajów ubliżającego stosunku mężczyzny do niej. Ale wiele ludzi zrozumiało niewłaściwie tę nową wolność sądząc, że życie płciowe człowieka może przybrać formę bezładnego zmieniania par małżeńskich, formę tzw. wolnej miłości. W zorganizowanym społeczeństwie ludzkim, a tym bardziej w społeczeństwie socjalistycznym, takie pojmowanie życia płciowego musi prowadzić do niegodnego człowieka prostactwa w stosunkach, do ich wulgaryzacji, do ciężkich przeżyć jednostki, do nieszczęść, do rozrywania rodziny i sieroctwa dzieci”.

„Każdy ojciec i każda matka — cytuję dalej Makarenkę — powinni postawić sobie za cel, aby przyszły obywatel, którego wychowują, mógł być szczęśliwy tylko w życiu rodzinnym i tylko w tej formie pragnął zaspokojenia życia płciowego”.

Czy ideał, głoszony przez Makarenkę mógłby zostać zrealizowany tam, gdzie ułatwione i zalegalizowane przerywanie ciąży zachęciłoby ludzi, zwłaszcza młodzież, do wolnych od jakichkolwiek zobowiązań związków?

Piękne i głębokie słowa Makarenki, zespolone z całą jego działalnością pedagoga, musiały mieć jednak niewątpliwie swój wpływ. O tym, że takie samo znaczenie do życia rodzinnego przywiązuje katolicyzm, nie potrzebuję tu chyba przypominać. Encyklika „Divini illius Magistri” mówi: „Rodzina bezpośrednio od Stwórcy ma powierzone sobie zadanie, a także i prawo do wychowywania

potomstwa. Prawa tego zrzec się nie może, ponieważ jest ono w sposób nierozdzielny związane ze ścisłym obowiązkiem”. Jest zjawiskiem doprawdy szczęśliwym, że oba światopoglądy, wychodząc z całkiem odmiennych stanowisk, spotkały się w tej materii.

Byłoby rzeczą wskazaną, aby tam wszędzie, gdzie w walce z demoralizacją wśród młodzieży zaczyna się mówić o powrocie do współpracy między rodziną a szkołą, nie zapominało się, aby w stosunku do dzieci rodziców wierzących ułatwić także umoralniający wpływ Kościoła.

Nie wystarczy jednak zgodzić się słownie na to, że rodzina jest pierwszym wychowawcą młodego pokolenia. Trzeba uczynić wszystko, aby ta rodzina była zdrową komórką społeczną. Aby ten warunek był spełniony, rodzina musi być trwałą, musi posiadać ekonomiczną samowystarczalność, zaś rodzina liczna winna być otoczona troskliwą opieką. Ale przede wszystkim rodzina musi posiadać wewnętrzną siłę moralną, pozwalającą jej przetrwać wszelkie kryzysy.

Będąc zaledwie przed kilku dniami za granicą miałem okazję rozmawiania z pewnym belgijskim działaczem pokojowym. Powiedział on do mnie: „Wy, Polacy, mówicie tak dużo o swojej woli pokoju, ale czy tego pokoju naprawdę chcecie? Przecież macie armię i szkolicie ją”. Odpowiedziałem mu: „Posiadamy armię, gdyż w świecie, w którym wszyscy są uzbrojeni, byłoby szaleństwem wyrzec się tego, co gwarantuje nam bezpieczeństwo naszych granic. To prawda – mamy armię. Ale proszę przyjechać do nas i pójść do naszego sklepu z zabawkami. Proszę znaleźć w tym sklepie choćby jedną zabawkę, która budzi chęć zabijania przeciwnika. Nasze zabawki nie są może tak piękne i na pewno nie posiadamy małych cudów sztuki i techniki, jakie znaleźć można na górnym piętrze brukselskiego Bon Marché. Ale połowa co najmniej tamtych zabawek, to peemy, pistolety „atomiczne”, czołgi, armaty, bombowce. U nas się tego nie znajdzie...”

Wojna – wiemy – może zostać narzucona koniecznością. Ale pragnienie wojny można stworzyć wychowując dziecko. Dziecko uwierzy łatwo, że najłatwiejszym sposobem przekonania przeciwnika jest – zabić go. Łatwo zasugerować dziecku myśl, że zabijając przeciwnika można osiągnąć więcej niż dyskutując z nim.

Wysoka Izbo! Taką sama sytuację można spotkać w życiu rodzinnym. Stwórzmy przekonanie, że przez zabicie nienarodzonego dziecka kupuje się lepszy byt, a będziemy mieli nie 300 tysięcy, ale milion sztucznych poronień.

Czy można mówić o zdrowym klimacie w rodzinie, gdzie okupuje się wygodę likwidującym zabiegiem? Czy taka rodzina wychowa człowieka zdolnego do ofiarności, do poświęcenia się dla dobra drugich?

W jednym ze szpitali warszawskich znajduje się prawdziwy bohater naszych czasów: pewien kierownik POM-u, który ratując z pożaru powierzony sobie sprzęt spalił się dosłownie cały. Czy taki człowiek wyszedłby z rodziny, która, aby zdobyć lepszą egzystencję, pozbyła się jego braci i sióstr? Rok temu byliśmy wstrząśnięci bohaterstwem nauczycielki, która za cenę swego życia ocaliła z pożaru troje obcych sobie dzieci. Czy rodzina, pozbywająca się z lekkim sercem nienarodzonych, stanie się wychowawcą drugiej takiej kobiety?

Koledzy Posłowie, to są chyba sprawy, które przemówić powinny do każdego z Was. Nie lekceważcie ich, proszę. Nie traktujcie lekko tej sprawy. Pomyślcie: uchwalane przez nas prawa mają budować nie tylko gospodarczą przyszłość naszego kraju, ale mają tworzyć także jego oblicze moralne.

„Człowiek – to brzmi dumnie” – powiedział wielki rosyjski pisarz. „Człowiek – mówi Pascal – jest tylko trzcina najwęższą w przyrodzie, ale trzcina myśląca”. O tego człowieka idzie walka. Łatwo jest zniszczyć życie ludzkie, trudno jest zbudować wielkość ludzką. A jednak połóżmy podwaliny pod tę wielkość człowieka, aby coś z tej wielkości mogło spłynąć i na nas.

Na zakończenie chciałbym dorzucić jeszcze kilka słów. Oświadczenia kolegów Horodyńskiego i Łubieńskiego, wypowiedziane w toku dyskusji budżetowej, zostały potraktowane przez niektórych kolegów posłów jako nieuzasadnione skargi, szkodzące jakoby swą treścią jedności.

Muszę się takiemu ujęciu stanowczo przeciwstawić. Ci, którzy stawiają podobne zarzuty, powinni zrozumieć, że Front Narodowy w Polsce oparty jest na bazie jedności programu społecznego, a zarazem na wieloświatopoglądowości. Cały naród, niezależnie od wyznawanego światopoglądu, zjednoczony jest – i musi być zjednoczony – we Froncie Narodowym. Cały naród buduje wspólnie naszą przyszłość.

I jeżeli na tle zgodności z programem gospodarczym rozwinęła się na naszej sesji dyskusja światopoglądowa, dowodzi to, że Front Narodowy stał się odbiciem życia narodowego, że jego praca zaczyna tętnić energią i siłą, że zniknął z jego szeregów tani oportunizm, że walcząc o wspólne cele nie przestajemy być sobą, realizując najgłębsze wezwania humanizmu, tak drogie zarówno nam, katolikom, jak i naszym kolegom marksistom. (Oklaski.)

"Materialistycznego poglądu na świat nie cierpię a sprawom gospodarczo-społecznym przyznałbym najchętniej tyle miejsca na świecie, ile im się należy, jako środkom ułatwiającym udoskonalenie i uszlachetnienie ludzkiego ducha. Sens ludzkiego istnienia i jeśli można tak powiedzieć, jedyne uprawnienie człowieka do podboju świata upatruję w twórczości kulturalnej." *Ferdynand Goetel*

"XIX i XX wiek to okres gdy prądy demokratyczne toczą śmiertelne zmagania, najpierw z królami zjednoczonymi w Świętym Przymierzu, a następnie z totalitaryzmami (komunizm i faszyzm). W walkach tych zwolennicy demokracji przedstawiali ją jako zasadę wolności przeciwko tyranii; jako koncepcję swobodnego wyboru przeciwko przymusowi. Jest rzeczą poniekąd zastanawiającą, że sytuacja ta uległa całkowitej metamorfozie, gdy najważniejsze systemy niedemokratyczne zostały pokonane. Triumfująca demokracja dokonała radykalnej transformacji swojej własnej świadomości. Przestała się postrzegać jako „wolnościowa” alternatywa, przeistaczając się w system bezalternatywny. Przywoływana tu koncepcja „końca historii” stanowi ważki element ideologizacji demokracji, która sama siebie zaczęła postrzegać jako rodzaj Królestwa Bożego na ziemi, dla którego nie ma alternatywy. Demokracja z pewnego sposobu obierania władzy przeistoczyła się w ideologię, rodzaj ludzkiej religii, gdzie człowiek uprawia kult samego siebie”.

(C. Kalita, A. Wielomski, fragment wstępu)

SZUKAJ W DOBRYCH KSIĘGARNIACH !!!

